







18413/69
LPL 2 R
LPT 3 R

Deklamator Polski.

ZBIÓR

poezyi religijnych, narodowych i historycznych,

stósownych do wygłaszania

podczas uroczystości patryotycznych, rodzinnych,

oraz wycieczek letnich,

z dodaniem

dyalogów i sztuczek teatralnych.

ZEERAŁ

Józef Chociszewski.

WYDANIE DRUGIE.

Ze zbioru: Jan Przybyłok
Piekarzy śl. Reja 9.
5/48 VII/1964

INOWROCŁAW.

Nakładem Księgarni Dziennika Kujawskiego.

Czcionkami Drukarni Dziennika Kujawskiego.

1898.



319174

I

K-68 / 18413
14.11 / 2.50



Przedmowa.

Sztuka deklamowania jest dotąd u nas zaniedbaną. Tylko wyjątkowo słyszymy podczas zebrań i uroczystości rodzinnych piękne poezye, wygłoszone przez nadobne dziewice lub dziarskich młodzianów. Mianowicie życzylibyśmy sobie gorąco, aby i w mniej zamożnych rodzinach wygłaszano deklamacye.

Przyczynił się może do tego zaniedbania brak odpowiednich a tanich podręczników. Niniejsza książka ma choć w części tej potrzebie zaradzić.

Stósowne deklamacye, wygłoszone z zapalem, przyczyniają się wielce do uprzyjemnienia zebrań towarzyskich, a przytem budzą miłość do wszystkiego co piękne, szlachetne i wzniosłe.

U nas, w pruskim zaborze, wygłaszanie pięknych wierszy przyczynia się do opieki słowa polskiego przed zalewem germanizmu. Niejeden i niejedna z koła słuchaczy ma może przez to jedyną sposobność zapoznania się z pięknymi utworami naszych poetów.

Daleko większe znaczenie posiadają amatorskie teatra, które w Czechach wywarły wielki wpływ na rozwój i utrwalenie czeskiej narodowości. Wprawa w deklamowaniu jest

pierwszym szczeblem i przygotowaniem się do wystąpień na scenie.

Deklamacya deklamacyi nie jest równa. Poeta Roman Zmorski umiał tak ślicznie deklamować, że w jego ustach nabierał język polski niezwyklej piękności. Powiadał mi pewien ksiądz, że gdy w młodości słyszał deklamującego wiersz poetę, zdawało mu się, że to nie polski, zwyczajny język, ale język jakoby aniołów, albo nadziemską muzykę.

Nie każdy może osiągnąć taką doskonałość, ale każda młoda polka i każdy polski młodziniec może się przyczynić do uprzyjemnienia chwil słuchaczom.

Pierwszym warunkiem powodzenia deklamacyi jest dobre nauczanie się na pamięć. Przykre to sprawia wrażenie, jeżeli deklamujący co chwilę się jąka, zaczyna, a nieraz traci zupełnie wątek poezyi.

Następnie należy się starać o odpowiednią postawę i szlachetne, poważne ruchy. Trzeba mianowicie zważać na poruszenia rąk i na wyraz twarzy. Nie sprawi ten pożądanego wrażenia, jeżeli się ktoś tam uśmiecha, gdzie trzeba było wyrazić gniew lub szlachetne oburzenie.

Z drugiej przecież strony pilnie baczyć wypada, aby nie było w ruchach i w głosie przesady. Nie podoba się ciche wygłaszanie, ale jeszcze więcej razi krzykliwość.

Deklamacya ma w sobie coś muzycznego, a wiadomo, że w muzyce każdy ton fałszywy zły wpływ wywiera. Tak i w deklamacyi niestósownie użyty akcent czyli przycisk, albo opuszczenie tegoż, psuje piękność wygłoszonego wiersza. W tym celu nie trzeba

opuszczać lub zmieniać pojedynczych wyrażień, lub co gorzej zdań całych.

Zwolennikom deklamacyi radzimy odbywać poprzednio próby pod kierunkiem doświadczonych osób. Życzliwe rady należy przyjmować życzliwie.

Sądzę, że niniejsze dziełko zawierające zbiór udatnych poezyi i kilka komedyjek, sprawi nieraz miłą i niewinną rozrywkę podczas rodzinnych i towarzyskich zebrań.

J. Chociszewski.

I. POEZYJE RELIGIJNE.

Hymn do Boga.

(X. Woronicz).

Nieogarniony światem, ojców naszych Boże!
Ty który jeden nie znasz płoczej wieków
[zmiany;

Otośmy Twych ołtarzów oblegli podnoże;
Niegdy lud Tobie miły; a teraz znękany!
Więc gdy za sobą przemówić nie śmiemy;
Pozwól, niech dawne łaski Twe wspo-
[mniemy.

Już lat tysiąc niewrotnej swej dobiega drogi,
Jako się pobraciłeś z ojcami naszymi;
A wyrwawszy im z ręki ciosane ich bogi,
Światem prawdy obliczem błysnąłeś tej ziemi;
I dałeś poznać wśród błędu zamieci,
Żeś Ty ich ojcem, a oni Twe dzieci.

Te same świątyni szczytki, mchem porośłe
[siwym,
Patrzały na Twe z ojcy naszymi przymierze;
Jak oni Cię uznawszy być Bogiem prawdzi-
[wym,

Mieli Ci wiernie służyć w niepoślisznej wierze;
A ty nawzajem przyrzekłeś łaskawie,
Im przewodniczyć w wielkości i sławie.
Ty żyjesz i żyć będziesz, chociaż świat upadnie!
Tyś policzył do włoska na tych głowach
[włosy —

Nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie;
W Twoich się ręki rodzą i czasy i losy.

Więc gdy nie możesz karać bez przyczyny,
 Los nasz być musi płodem własnej winy.
 Łzy nasze są świadkami błędu i poprawy;
 A Ty patrzeć nie możesz na łez ludzkich
 [zdroje,
 Ni się wyprzesz Twych dzieci, Rodzicu ła-
 [skawy!
 Cóż Ci zostaje? wyrzec dawne słowa Twoje:
 »Kości spruchniałe! powstańcie z mogiły,
 »Przywdziejcie ducha i ciało i siły!«

Psalm do wszystkich Świętych Patronów Polskich.

(Gabryela Żmichowska).

Za ludem, który nigdy hufcami zbrojnemi
 Dla marnych łupów obcej nie najeżdżał ziemi,
 Który choć silny — słabszych nigdy nie cie-
 [mieżył,
 A jak braci miłował tych, których zwyciężył;
 Który miodem swych lasów, chlebem swojej
 [roli;
 Sam żył, i dla przechodniów miał zawsze do
 [woli;
 Za ludem cichej cnoty i pocziwej sprawy,
 Spokojnego sumienia i chwały bezkrwawej,
 Módlcie się w niebie wszyscy polscy
 [Święci,
 Rólników swoich niech Bóg ma w pa-
 [mieci!
 Za ludem, który całą swą powieść dziejową
 Ułożył w jedną tylko wyprawę krzyżową,
 Co nie grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary
 Strzegł pilnie przed dzikimi Turki i Tatary;

Za ludem Europy — tarczą i podporą,
 Co ginał pod Lignicą, Sokalem, Cecorą,
 Pod Chocimem i Wiedniem, co księżyc dwurogi
 Na zdeptanie dał Pannie Maryi pod nogi;
 Za ludem czynnej straży od plagi pogańskiej,
 Który walczył w obronie wiary chrześcijańskiej
 W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przył-
 [bicy,

Ludem mężnego serca i dzielnej prawicy —
 Módlcie się w niebie wszyscy polscy
 [Święci,

Żołnierzy swoich niech Bóg ma w pamięci!
 Za ludem, który z piękną Dziewicą Królową
 Niósł Litwie Ewangelii wiekuiste słowo,
 Który najpierwszy w dziejach i ostatni razem
 Nie długą pracą wieków, ni władzcy rozkazem,
 Ale chwilą zapалу, wielką chwilą — cudem
 Bratnie ludy pojednał z najeźdźników ludem,
 I jak w kościele wiary Sakramentu wodą,
 Tak w kościele historii ochrzcił praw swo-
 [boda;

Za ludem, który krzyże wśród pogaństwa
 [stawiał,

Za ludem, który kochał, oświecał i zbawiał,
 Módlcie się w niebie wszyscy polscy
 [Święci,

Swych apostołów niech Bóg ma w pa-
 [mięci!

Za ludem, który dzisiaj nie ma pyłku ziemi
 Na przybraną ojczyznę pod stopy swojemi;
 Za ludem przez sąsiadów tylekroć szarpanym,
 Przed stu laty zgwałconym, po dziś dzień
 [nękany,

Za ludem biednych ojców, nieszczęśliwych
 [matek,

Pomordowanej młodzi, i zabranych dzieci,

(Anczyc).

(Adam Mickiewicz.)

Ninie dzień Tobie uświęcamy wierni —
Śród Twego błysnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła;
Oto śród niemej bojaźnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ Twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród Twego błysnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie! —

Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmie piersią, jak Cherubiny
Zagrzmia światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybija:
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon
Jak ranek z morskiej kąpieli [dziewica
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa,

Pojrzał Jehowa i w Niej upodobał sobie.
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!

Stań się, stało;

Matką Dziewica,

Bóg ciało!

Hymn do Bogarodzicy.

(Słowacki).

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew,
Wolności błyszczy zorza,

Wolności błyszczący krzew,
Wolności bije dzwon.

Bogarodzico!

Wolnego ludu śpiew,
Zanieś przed Boga tron.

Podnieśmy głos rycerze,
Niech grzmia wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże,
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie, i tam mają duszę. —

Noc była. — Orzeł dwugłowy
Dumał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie, zagrzmiały spiże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże
Patrząc na wolne narody.
Szukał cienia... I w ciemności uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam Litwini,
Jeśli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos cię pokoleń obwini,
Jeśli nie skruszysz, narodzie,
Krwia carów złanej korony.
Do broni bracia! do broni!
Wolność z upodlenia toni,

Z popiołów, Fenix nowy,
Powstał lud, błogosław Panie!
Niech brzmi pieśń, jak w dzień godowy.

Bogarodzica! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,

To ojców naszych śpiew.
 Wolności błyszczy zorza,
 Wolności bije dzwon
 I wolno płynie krew.

Bogarodzico!
 Wolnego ludu krew
 Zanieś przed Boga tron.

Wam się chylić przed obcemi,
 Nam we własnych ufać siłach;
 Będziem żyć we własnej ziemi,
 Lub we własnych spać mogiłach.

Psalm dobrej woli.

(*Krasiński.*)

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
 Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
 Tysiącoletnie dałeś panowanie,
 Ubrane w śnieżne, przedchrześcijańskie blaski
 Nadeuropejskiej cnoty! Twego syna
 Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić
 [dzieje.

Z Polski — ojczyzna w przeszłości jedyna,
 Co z piersi miłość a nie rozbój sieje;
 Co mieczem tylko świat ewanieliczy,
 Gardzi grabieżą — nie garnie zdobywszy;
 Spaja się z braćmi, a dumnych roztrąca,
 Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój
 [w niebie

Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Ty, co w dziejowych odmętów rozruchu
 Wściekłych piorunem przybijasz do darni —
 A zacnych zbawiasz — bo zacni z męczarni;
 Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
 Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
 Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże —
 A światu mężcy. My, co się nie boim
 Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
 Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
 Co za nas Twego doprasza się słuchu,
 My zawieszeni pomiędzy otchłanią
 A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu,
 Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
 Skronią już w wiosen twych kapani dmuchu,
 Czasów pryśniętych otoczeni kołem
 I państw ginących — Ojcze, Synu, Duchu,
 Błagamy Ciebie stwórz w nas serce czyste —
 Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kłakole,
 Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
 Śród dóbr twych dobro — daj nam dobrą
 [wolę!
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój
 [w Niebie
 Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętami czynami
 Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Do Anioła Stróża.

(Lenartowicz).

Aniele, stróżu duszy
 Z pokorą błagam Cię!
 Gdy mnie myśl ziemską wzruszy,
 Ach nie opuszczaj mnie!

Niech chęci moje z Twojemi
Uplotą jeden zwój,
Ach wspieraj mnie na ziemi,
Aniele, stróżu mój!

(Jan Kochanowski).

Czego chcesz od nas, Panie! za Twe hojne
[dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz
[miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
W otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszy-
[stko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie Człowiek mieni
[swoje,

Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie! wy-
 [znawamy,
 Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.
 Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbu-
 dował
 I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,
 Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
 I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.
 Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze
 [stoi,
 A zamierzonych granic przekroczyć się boi,
 Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność
 [mają,
 Biały dzień a noc ciemna swoje czasy mają,
 Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
 Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
 Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
 Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
 Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
 A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie,
 Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej
 [żywności,
 A Ty każdego żywisz z Twej szcudrośliwości.
 Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
 Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie,
 Chowaj nas, póki raczysz, na tej nizkiej ziemi,
 Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami
 [Twemi.

Modlitwa do Boga.

(J. Słowacki).

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
 Opuść nam nasze winy!
 Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
 Przez nas czyń Twoje czyny!

Niechaj się Twoje imię na wysokościach
[święci,

Niech się święci trzy razy!

Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmaży.

Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych
mocarzy,

A ducha-śmy nie dali:

Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.

Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: „nie ciśnij!”

Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wróć!... błysnij!

W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się, i z daleka
Brat pozna swego brata,

I wejdzie nieśmiertelność jako Anioł w czoło-
wieka,

I będziem ludem świata!...

K o l e n d a.

(*Syrokomla*).

My przed Wami dziś stoję

Staroświeckim zwyczajem,

W Nowy Rok niesiem piosnkę w ofierze;

Gdy nadzieją duch rośnie,

Kolenduję radośnie,

Posłuchajcie nas szczerze.

Narodzony Syn Boży

Niech swe serce otworzy,

Kędy skarb nieprzebrany, bogaty;

Niechaj gwiazda Trzech Króli
 Promieniami otuli
 Wasze głowy i chaty.
 Częstochowska Marya
 Waszym modłom niech sprzyja,
 W dobry czas niech ją prośba poruszy;
 Niech się krzewią szczęśliwie
 Zboża na Waszej niwie,
 A cnoty w Waszej duszy.
 Po nad miasta, nad wioski,
 Niechaj czuwa duch Boski,
 Dary łask niech rozsypie w narodzie!
 Czy zabawa czy praca
 Niech Wam serca obraca
 Ku miłości i zgodzie.

Krówka Jaremy.

(X. I. Hołowiński.)

Wieczór się przybrał w szkarłatu rumieniec,
 Kiedy szedł z targu Jarema młodzieniec;
 A był wesół, wzięła go swawola
 Podpędzać krówkę wracającą z pola;
 I tak się długo z biedną krówką bawił,
 Zagnał do lasu i tam ją zostawił.
 Nazajutrz rankiem powraca do miasta,
 Widzi, że płacze na drodze niewiasta;
 Tknięty litością pyta o przyczynę. —
 Ach, zwierz mi, rzekła, zjadł krówkę jedyne,
 Gdy się zbłąkała w lesie nocną porą.
 I mnie i dzieci żywiła pięcioro,
 A teraz głodem biedna z dziećmi zginę. —
 — Jakiejże maści była twoja krowa?
 — Z łysiną białą sama całkiem płowa. —

Poznał Jarema, że to on oddalił
Wczoraj na drodze napotkaną krowę:
Kamień zgryzoty na serce się zwałił,
Zamilkł, westchnąwszy i opuścił wdowę.
Przeszedł czas długi, z czasem troska mija,
Bo nowa bieda dawniejszą zabija.

W cudnowskiej puszczy zbłąkał się Jarema,
Szedł dniem, wieczorem, szedł i nocną dobą,
Nie spotkał czлека i gospody nie ma,
A las i niebo tylko ma przed sobą.
Czasami smutno drzewa zaszumiały,
Albo ptak nocny pojęczał przez chwilę,
Czasem się straszne pokusy ozwały,
Czasami było głucho jak w mogile.
Gdy tak strudzony szuka przytuliska,
Patrzy, aż zdala światło jakieś błyska;
Zbliżył się, widzi ludzi dzikiej twarzy
Dla których w kotle jedzenie się warzy,
A na ramionach strzelba im połyska.
Chociaż pomyślał, że zbójcy być mogą,
I w sercu uczuł trochę niepokoju,
Lecz się nie lęka ubogi rozboju,
Przeto zmęczony i głodem i drogą
Przystąpił do nich w pokornej postawie,
Prosząc by nocleg mógł przepędzić z niemi:
Chętnie przyjęli, on usiadł na ziemi,
I zaproszony wziął udział w ich strawie,
A potem z trudu usnął na murawie.
Ale go nagle wrzawa ze snu budzi:
Widzi rozpierzchłą swą drużynę nocną,
A siebie wpośród obcych zbrojnych ludzi,
Którzy sznurami krępują go mocno,
Bo właśnie wtedy rząd uwiadomiony,
Gdzie była banda Pawluka Watażki,
Wyprawił poczet żołnierzy w te strony,
Ale umknęły te ostrożne ptaszki;

Tylko Jerema był przyprowadzony.
 Choć rzecz wyjaśnia, ale nie przekona,
 Bo podejrzenie potępia go z góry:
 Bito, męczono, brano na tortury,
 Jego niewinność uporem ochrzczona,
 Tak mu upłynął rok cały w niewoli,
 Wielkie ponosił nędze i katusze.
 — Boże! mój Boże! wołał w swej niedoli,
 Za cóż niewinnie biedny cierpieć muszę? —
 Gdy tak w cierpieniach i skargach czas trawił,
 Jakiś mu starzec we śnie się pojawił,
 I łagodnemi tak przemówił słowy:
 — Za co obwiniasz o niesłuszność nieba,
 Czy zapomniałeś krówkę biednej wdowy?
 Wiedz, że lzy cudze krwią odkupić trzeba;
 Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy.
 Jużś dość cierpiał za krzywdę zdziałaną,
 Wrócisz swobodny do dzieci i żony. —
 Jakoż w tym czasie zbójców pochwymano,
 Za ich zeznaniem został uwolniony.
 I my w nieszczęściach choć bez naszej winy,
 Nim się uskarżać na Boga poczniemy,
 Przepatrzmy przeszłe żywota godziny,
 A znajdziem pewno tam krówkę Jaremy.

Wiarę ojców cześć należy.

(R. Berwiński).

Głód, powietrze, ogień, woda
 I wszelaka zła przygoda
 Będzie temu, ktoby starą
 Ojców swoich wzgardził wiarą!
 Zwierz drapieżny do obory
 Między stada czarne mory

Ze zbioru: Jan Przybyłek
 piekary St. Reja 9.
 11/43/vi/1964

Wejdą temu, ktoby starą
 Ojców swoich wzgardził wiarą!
 Chorobą się rozniemoże,
 I boleści twarde łoże
 Zwiąże tego, ktoby starą
 Ojców swoich wzgardził wiarą!
 A gdy skona, garści ziemi,
 Gdzieby spoczął kośćmi swemi,
 Nie dostanie, ktoby starą
 Ojców swoich wzgardził wiarą!
 Marnie zginie! świat rozmiecie
 Prochy jego po wszym świecie;
 Marnie zginie! ktoby starą
 Ojców swoich wzgardził wiarą!

Szanujcie dzień święty.

(K. Brodziński).

W obory z pola spędzajcie trzody,
 Zawieście kosy na ścianie,
 Młynarze dzisiaj zastawcie wody,
 Niech w polu praca ustanie.
 Mówił nam pleban, że już godzina
 Modlitwy, co ducha wznosi;
 Siostra za brata, matka za syna
 W kościółku Boga niech prosi.
 Gałęzie z lipy tnijcie młodzieńco,
 Dzieci pospieszcie na kwiaty,
 Córki w kwietnikach splatajcie wieńce,
 Przywdziejcie świąteczne szaty.
 Ustrojmy wrota, złociste ściany,
 I żółte zapalmy świece,
 Niech ołtarz będzie wstęgą ubrany,
 Niech liść umai świątnice,

Usłyszym dzisiaj kazanie nowe,
Z plebanem będziem nucili,
Bo kto przed Bogiem ukorzy głowę,
Ten jej przed trwogą nie schyli.

Modlitwa za polskie dziewice.

(Władysław Bełza).

Do Twoich świętych stóp,
O! Matko z Jasnej-góry,
Korny spełniając ślub,
Ścielą się polskie córy;
I słysząc — jak głos dzwonu
Z wyniosłych buja wież,
Z nim do Twojego tronu
Wołają! — strzeż je, strzeż! —
Dziś na pokusę wszelką
Prowadzi wielu świat...
O! Boża Rodzicielko,
Skryj je pod rąbkiem szat!
Niech o nie się rozbija
Bezsilny burzy gniew!
Twem berłem jest lilija,
Osłoń niem polny krzew.
Niech te dziewczeczki młode
Strzeże ich Anioł-Stróż,
Co rozkosz i pogodę
Do mężkich wnoszą dusz.
A Ty, na niebios chwałę,
Pod płaszczyk złoty tul,
Niech wciąż niewinne, białe,
Kwitną wśród naszych pól.

Pan Jezus chodzi po świecie.

(*Asnyk*).

O! nie rozpaczaj tak dziecię,
Ze nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwią —
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotkę napotka
W chacie zwalonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz jego na progach domu.

I boskie wyciąga dłonie
Aby przytulić sierotę,
Niesie jej blaski i wonie
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia,
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia.

Choć pójdzie drogą boleści —
 Choć nie zna rodzinnej strzechy —
 W swych piersiach dziedzictwo mieści
 Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak dziecię,
 Że nie masz ojca i matki!
 Pan Jezus chodzi po świecie,
 I zrywa na łąkach kwiatki!

Grosz wdowi.

(Jachowicz).

W miejscu publicznem była skarbonka przy-
 [bita,

Niejeden obojętnie jej napis przeczyta:

»Ofiara dla ubogich« — potem się odwróci
 I grosza nie wrzuci.

Długo, długo próżną była,

Aż uboga kobieta pierwszy grosz wrzuciła.

Zaraz jakiś pan bogaty

Rzucił dukaty.

Mniej bogatego wzruszył wdzięk tej cnoty,

Wkłada złoty.

Znów jakiegoś przechodnia skłania ta ofiara,

Rzuca talara.

Zkądże ta hojność? Cnoty czarująca władza

Do grosza złoto sprowadza.

Dotądby może jeszcze puszka próżną stała,

Gdyby małej ofiary uboga nie dała.

Piękny przykład cuda działa.

II. POEZYJE PATRYOTYCZNE.

Wiersz, który każdy Polak i Polka na pamięć umieć powinni.

(Ign. Krasicki).

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe;
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie pęta, więzy niezelżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe,
Byle cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.

G i e r m e k.

(Morawski).

Smutnie w Polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Podbił, zajął Szwed okrutny.
W długim cieniu drzew lipowych
Spoczywały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojownicy.

Gdy wtem siwym strojny włosem,
 Którym lekki wiatr powiewał,
 Wieszcz się znanym ozwał głosem,
 Trącił w lutnię i tak śpiewał:

- »Mile gadka dawnej treści
 - »Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
- »W starych czasów to powieści,
 - »Stara dzielność się ukrywa.
- »Był czas, gdyśmy za przedmurze,
 - »Za tarcz ludom, światu stali;
- »Był czas, gdyśmy wschodnie burze
 - »Piersią naszą odpierali.
- »Lasem polskich dzid, narody
 - »Zasłaniane od podboju,
- »Wynucały pieśń swobody,
 - »Pieśń miłości, pieśń pokoju.
- »Naszym hymnem był szczęk broni,
 - »Trąb wojennych dzikie dźwięki,
- »Wrzawa bitew — grzmot pogoni,
 - »I rozległe rannych jęki.«
- »Złoci wieczór łąn Podola,
 - »Ciagną wojska, tabor, wozy,
- »Tętnią całe lasy, pola,
 - »Stoją groźne dwa obozy.
- »Z jednej strony sztandar wiary,
 - »Siwy hetman, młodzież dziarska,
- »Z drugiej wściekłość, krew, pożary
 - »I straszliwa czerń tatarska.
- »Jutro, jutro z rannym brzaskiem
 - »Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
- »Słońce krwawym zaszło blaskiem,
 - »Bój to będzie straszny, krwawy!

- »Ledwie pierwszy mrok zapada,
 - »Polski hetman kord przypasze,
- »Z młodym giermkim na koń siada,
 - »I objeżdża czaty nasze.
- »Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
 - »Słucha gwaru, rżenia koni,
- »Pyta, zważa — ognie liczy,
 - »I już w myśli łamie — goni.
- »O nie ciesz się wodzu stary,
 - »Zmienne wojny są koleje,
- »Nie tak łatwo to z Tatory;
 - »Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!
- »Hura! hura! pędzi horda,
 - »Nocny napad w obóz leci,
- »Giermek za broń, wódz do korda,
 - »Na koń, woła, na koń dzieci!
- »Spieszą — biegną do swych szyków,
 - »W pośród nocnych pędzą cieni;
- »Gdy wtem z grzmotem nowych krzyków
 - »Zewsząd czernią otoczeni.
- »Tną i walczą na przebicie,
 - »Rąbie hetman, giermek łamie;
- »Całą młodość, ogień, życie
 - »W wojujące przelał ramie.
- »I już słyszą, słyszą w dali,
 - »Jak nadbiega polska wiara;
- »Ale już ich nie ocali,
 - »Już nie wyrwie z rąk Tatara.
- »Wzięty giermek, hetman wzięty,
 - »Krzyczy, huczy motłoch dziki,
- »Bucha gniewem Han zacięty,
 - »Patrząc na swe niewolniki.

- » Wre i zemstą ryczy srogą,
» Każe jednem skuć żelazem
- » Nogę giermka z wodza nogą,
» I tak obu więzić razem.
- » Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
» Na wysokie gwiazd sklepienia;
» Ale nacóżbym wam nucił
» Ich boleści, ich marzenia?
- » O kto nigdy pęt nie nosił,
» Kto nie jęczał w wrogów mocy,
- » Strawy swojej łzą nie rosił,
» Nie przetęsknił długich nocy;
- » Kto w półdzikim, podłym tłumie
» Nie włókł ciężkich lat niedoli;
- » Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
» Jak jest gorzkim chleb niewoli!«

I na chwilę, marząc smutnie,
Wieszcz ucicha... łzę wylewa,
I znów nagle trąca w lutnię,
I tak dalej gra i śpiewa:

- » Zasnął hetman siwobrody,
» Zasnął, jakby między swemi;
- » Nie śpi, czuwa giermek młody,
» Długo o swej duma ziemi.
- » I łza tryska mu z źrenicy,
» Żal i rozpacz serce tłoczy;
- » Gdy wtem nagle w swej ciemnicy
» Zapomniany topór zoczy.
- » Patrzy, duma, drży i marzy,
» Serce szczytnym ogniem płonie,
- » Wielki w duszy zamiar waży,
» Topór w obie chwyta dłonie;

- »I podnosi ręką śmiałą,
 - »Mężnie ku swym pętom zwróci,
- »Tnie, odcina nogę całą,
 - »I hetmana swego cuci.
- »Wolnyś, rzecz, straż zaspana,
 - »Uchódź, ocal twą krainę,
- »Spiesz i pobij wojsko Hana,
 - »Ja z radością tutaj zginę.
- »Powstał hetman i wzniosł dłonie,
 - »Rzewnemi się łzami zalał,
- »Żegnał, Boskiej zdał obronie,
 - »Scisnął, uszedł i ocalał.
- »I straż nagle z snu się zrywa,
 - »Wieść ucieczki wodza szerzy,
- »I sam wreszcie Han przebywa,
 - »I zaledwie oczom wierzy.
- »Długo, długo wzrok swój wryty
 - »W śmiałych topi mu żrenicach,
- »Stoi jakby gromem zbity,
 - »Po dostojnych czyta licach.
- »I odpycha wszystkie straże,
 - »Cnota dzikość zwyciężyła;
- »Każe leczyć, darzyć każe,
 - »I do Lachów go odsyła.
- »W świetnem dworzan, wodzów gronie
 - »Szkarłatnemi szaty odzian,
- »Siadł król Polski na swym tronie,
 - »Wdzięczny przed nim stanął młodzian.
- »W miejscu nogi prosta kula
 - »Ujmującą postać wspiera,
- »I dwór cały się rozczuła,
 - »Z szmerem dziwu nań spoziera.

- »I dwaj wiodą go rycerze,
 »Kornie przed tron przystępuje;
 »Król z wezglówia szczerbiec bierze,
 »I rycerzem go pasuje. —
- »Gdy wtem w pośród wodzów koła
 »Hetman nogę niesie złotą;
 »Oto herb twój! — król zawoła,
 Wysłuszony twoją cnotą.
- »I porywa dłoń rycerza,
 »Wśród okrzyków ludu wiedzie,
 »I przed ołtarz Pański zmierza,
 »I sam klęka z nim na przedzie.
- »O blask, chwałę swych orężów,
 »Korne w niebie dłonie wznosi
 »I o więcej takich mężów
 »Dla ojczyzny swojej prosi.«
- Tu dźwięk lutni mdlał, upadał,
 Coraz głuchszem cichła brzmieniem;
 A wieszcz w duszach śledził, badał,
 Co w nich swoim wzbudził pieniem.

Garść ziemi.

I.

On rzucił ojców zagrody,
 By w świat wyruszyć nieznany
 I między obce narody
 Ponieść niewoli kajdany;
 Rzucił tłum bratniej drużyny
 I czary łąki kwiecistej,
 Wziął tylko klejnot jedyny:
 Garść czarnej ziemi ojczystej...

II.

I płakał łzami tęsknoty,
 Rzucając pola rodzinne
 I matki tkliwe pieszczoty,
 Żarty dziecka niewinne;
 Wszystko — co w ziemi miał bratnie
 Znikło w przeszłości ciernistej,
 Wziął tylko klejnot ostatni:
 Garść czarnej ziemi ojczystej...

III.

Burze mu przeszły nad głową
 I nowe czucia przez duszę...
 On zawsze myślał cierniową
 Rozkrwawiał wspomnień katusze...
 Bo kiedy w chwilach natchnienia
 Biegł w marzeń świat promienisty,
 Czuł w sercu ciężar kamienia —
 Garść czarnej ziemi ojczystej...

IV.

I przebył lądy i morza,
 Widział świat cudów nieznany,
 Lecz siny błękit przestworza
 I ciche ojców kurhany
 Znów w nim tęsknotę budziły
 Za rajem łąki kwiecistej,
 Zkąd wziął, z najdroższej mogiły,
 Garść czarnej ziemi ojczystej. .

V.

A gdy już śmierci godzina
 Dni wędrownika przecięła
 I zimna, obca mogiła,
 W łono go swoje przyjęła;

Do grobu bratniej drużyny,
 Nad brzegiem góry śnieżystej,
 Dano mu klejnot jedyny —
 Garść czarnej ziemi ojczystej...

Pogrzeb Kościuszki.

(Kornel Ujejski).

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
 Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
 A nad niemi dzwon Zygmunta, żalność górująca,
 Wszystkie chłonie, — a to niby ojczyzna płacząca.
 W cudzych stronach, na tułactwie, wiódł żywot
 [boleści

Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
 Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łąny,
 Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany.
 Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
 Chylą oczy, co żalosną zwilżyły się rosą,
 Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
 A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniej
 [szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie, szlochają jak dzieci!
 W tłumie kosa raclawicka podniesiona świeci.
 To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc wykrzyka:
 „Koso nasza, choć zdaleka patrz na Naczelnika.“
 Oj panowie! zróbcie miejsce, niech się zbliżą chłopci,
 Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczerą skropi,
 Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
 Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich sier-
 [miedze.

* * *

I na zamek między królów ponieśli hetmana,
 I rozwarła się świątynia, złotem nabijana,

U jej progu stanął Kmita i „co zacz on?” pyta;
 Swój! swój! świętszy od waszeci, — puszczaj
 [mości Kmita.

Zaruszały się posągi, królowie umarli
 Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się
 [wsparli,

I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
 I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.
 Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje,
 I przemawia: „Ja król chłopków, rękę ci podaję,
 Wždy obydwu my uczcili zapomniane sługi
 I kochali lud gołębi, — ja pierwszy, ty drugi.“
 Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
 Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław
 [święty:

„Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
 Jeżeli prawda, że krzyknąłeś raz — „Finis Poloniae!“
 Na to hetman: „O mój ojcie! choć sercem prze-
 [lękłem!

Zanurzyłem się w boleściach, tych słów nie wy-
 [rzekłem!

Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięła,
 Z czego wkrótce pieśń urosła: „Jeszcze nie zginęła!“
 Przy ołtarzu arcypasterz i śpiewak Sybilli
 Wznosi ręce, każda głowa na piersi się chyli,
 A w dziedzińcu korni chłopci o głąz biją czołem,
 Oni, co gdy kościół pełny, stoją przed kościołem,
 Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łono
 W miejsce, gdzie chciał król spoczywać, hetmana
 [spuszczono;

.
 Ten co z pługiem może chodził w ubóstwie za
 [młodu,
 Spoczął w króla katakombie — hetman, król na-
 [rodu!

A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk rozpaczny: „Och, już
[go zamknęli.“

„Och, już wzięli naczelnika, och, już ty nie naszy,
Ciemność sklepień, blask pożłoty, serca nasze
[straszy;

Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach.
Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Każdy ptak by ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.
Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci,

[słonko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,
Tybyś cieszył się z jej brzęku, choć śpiący
[i niemy;

Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy!
Jeżeli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać
[ciebie,

Trudne pisma na nagrobkach, mało kto z nas
[czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę: „A czyja to?“ —
[spyta.

Tak lud żali się i marzy; urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa;
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskry
[z ducha.

I mogiłę^{*} wnieborosłą^{*} sypie lud serdeczny,
Próżna-ż ona! cóż w nią schować na spoczynek
[wieczny?

Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasno-
[widz —

Lud zatroskał się i myśli . . . „Hej, do Maciejowic

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
 Kiedy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
 Więc tę ziemię krwią przesiąklą bierzcie jak sa-

[krament,
 Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament.“
 Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
 Biegna pany i kapłany, chłopcy i wojacy,
 Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano

[a tłumnie,
 Jak przykazał duch miłości pracują rozumnie.
 Miłość wiąże i umacnia, — praca idzie chyżej,
 A krakowska cała ziemia woła: „Wyżej! wyżej!
 Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie.“
 I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...
 I urosła; już ją zewsząd widzi kraj daleki,
 Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
 Stać jej w straży będą Miłość i Wiara — dwie
 [służki;

Wawel runie, a zostanie: Mogiła Kościuszki.

Katedra na Wawelu.

1.

Cisza w Wawelskiej katedrze —
 Zmrok osiadł sklepień załomy,
 Nikt się nie modli — nie żebrze —
 Organ śpi, jak w chmurze gromy.
 Wiatr tylko czasem zajęczy,
 Lub ptak po szybach zabrzączy.

2.

Rzędem kolumny ponure
 Jedne za drugimi dążą,
 Jak dęby wzrastają w górę,
 Konary w akardy wiążą;
 I jak dziewczica z młodzieńcem,
 Łączą się sklepienia wieńcem. —

3.

Tutaj śpią króle — mocarze —
 Poigrał czas z ich potęgą, —
 W proch chobrze rozsypał twarze,
 I pleśni opasał wstęgą;
 A w ich zbutwiałej prawicy
 Rdzewieje klinga szablicy.

4.

Po strunach lutni uderzę,
 Z spruchniałej wzbudzę ich trumny,
 W załomki sklepień, kolumny,
 Pieśń pełną, brzmiącą, rozszerzę.
 Za każdym podźwięciem pieśni,
 Zbudzą się i wstaną z pleśni! —

5.

Któż to w kamiennej zbroicy
 Strzeże przysionków kościoła?
 Dotknę się twardego czoła,
 Niech życie błysnie w źrenicy;
 Niech marmur opadnie z ciała,
 W twarzy rumieniec zapala! —

6.

Ożył — i któż to? — to Kmita*)
 Szerokiej Polski strażnica, —

*) Po prawej stronie wielkich drzwi w katedrze krakowskiej, znajduje się porfirowy posąg Piotra Kmity, zmarłego w r. 1553, — pięknej rzeźby, w postawie człowieka, chcącego się ruszyć z miejsca i postąpić. Nad głową ma napis: Os, humerosq. Kmitae magni hospes vides quo non praestantior alter Sarmata corpore ac mente fuit. — Był on z rodziny Kmitów ostatni.

Z pod hełmu laur mu wykwita,
Przy boku szczeka szablica.
Idzie — krok jego tak dumny,
Że drżą ciosowe kolumny! —

7.

O! dalej, chodź ze mną Kmito,
Chodź ze mną, ja tobie wskażę
Wszystkie męczeństwa ołtarze,
Które krwią naszą obmyto.
Pewnie brzęk naszych łańcuchów
Odbił się w krainie duchów! —

8.

Chodź ze mną — za każdym krokiem
Potrącisz ziomków szkielety,
Za każdym krokiem niestety!
Krew i łzy płyną potokiem.
Twarze twych potomków zbladły,
Grody w zwaliska zapadły. —

9.

Słyszysz jak Wisła się skarży,
Jak smutnie po skałach szumi?
Ja widzę boleść w twojej twarzy,
Daremnie ją duma tłumi.
O! nie oszczędzaj łzy jednej,
Dla naszej ojczyzny biednej!...

10.

Czy słyszysz Kmito akordy,
Odgrane na wieków rogach?
Po grodach szczekają kordy, —
Sztandary na Dniepru progach,
Sztandary za karpatami,
Szumią tryumfu pieśniami!

11.

To wielki polonez duchów. —
 Patrz! — idą w szatach godowych; —
 Z ich spojrzeń i męzkich ruchów,
 Poznasz twych braci grobowych.
 Odbijanego! — zagrali
 Od czarnych wód aż do Sali!

12.

To święty taniec pamiątek! —
 Pomiedzy dwóch mórz granicą, —
 Muzyką — wieków dziesiątek,
 Miłość ojczyzny — dziewicą;
 A szablą z Rodzicą Boga,
 Takt daje na karkach wroga! —

13.

To syny wieków dziesięciu,
 To nasi wielcy przodkowie;
 Znani wśród boju po cięciu,
 W obradach ludu po głowie!
 Patrzaj, jak w pary się wiążą,
 I koło swych grobów krążą. —

14.

Na chwilę przybrali ciało,
 Patrzą oczyma łzawemi; —
 Ziemię zalali swą chwałą,
 Ich dzieciom zabrakło ziemi!
 Zabrzmieli pieśnią żałoby,
 W stare pokładli się groby!

15.

Z obszernej niegdyś dzielnicy
 Został im Wawel — na groby!...

(*M. Sokolnicka*).

Niechaj najmiłszą będzie ci zabawa
 O dziejach dawnych słuchać opowieści,
 O tych pokrytych nieprzebrzmiałą sławą,
 O dniach wesela — chluby i boleści.

O dziecię moje, jeżeli na wieki
 Miłość ojczyzny serce twe zachowa,
 To mimo przeszkód jak świat ten daleki
 Zabrzmi na nowo dźwięczna nasza mowa.

Reguły staropolskie.

(Wincenty Pol.)

Dukat — to nie kwitek!

Miodek — to napitek!

Bigos — to potrawa!

Kulig — to zabawa!

Kiedy zbrojnie — to ze szablą,

Kiedy z miną — to już z djablą,

Kiedy strojnie — to we złocie,

Gdy pracować — to już w pocie,

Bankietować — to już szumnie,

Sejmikować — to już tłumnie.

Kiedy gardzić — to podłością,

Kiedy mówić — to z szczerością.

Gdy kto oszust — to go łaj,

Gdy pocciwy — rękę daj!

Gdy się bratać — to z równymi,

Gdy mieć litość — nad biednymi,

Gdy się modlić — to już szczerze,

Kiedy wytrwać — to w swej wierze,

Kiedy cierpieć — to wytrwale,

Kiedy kochać — to już stale.

Kiedy jeździć — to już sanna,

Kiedy szaleć — to za panną,

Gdy uczciwa — to polubić,

Gdy wzajemna — to poślubić,

Gdy rozsądna — to ją cenić,

A gdy mądra — strzeż się żenić.

Kiedy wspierać — to rodaka,
 Kiedy tańczyć — krakowiaka,
 Sąsiadować — to spokojnie,
 Gdy obdarzać — to już hojnie,
 Gdy docierać — to z obcesem,
 Kiedy niszczyć — to z kretesem!

Gdy wyśmiewać — to już mody,
 Gdy miłować — to swobody,
 Kiedy hulać — to z drugimi,
 Kiedy umrzeć — to w swej ziemi,
 Kiedy order — to za bliźnę,
 Kiedy zginąć — za ojczyznę.

Walka z Moskalami.

(»Z Pana Tadeusza.«)

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w za-
 [wody,
 I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw nie-
 [zgdy,
 Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
 Dobrzyńscy widząc, jak się Podhajski wykręca
 Tuż przed szeregiem jegrów i kosą ich kraje,
 Zawołali z radością: »Niech żyją Podhaje!
 Naprzód bracia Litwini, górą, górą, Litwa!
 Skołubowie zaś, widząc jak waleczny Brzytwa,
 Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,
 Krzyknęli: »Górą Maćki, niech żyją Mazury!
 Dodawszy wzajem serca, biegną na Moskali:
 Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymy-
 [wali.

Gdy tak na rotę jegrów uderzano z przodu,
 Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu.
 Przy boku jego stapał ostrożny Protazy,
 A Wojski mu pocichu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym par-
[kanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka, stara sernica, budowana w kratki
Z belek na krzyż wiązanych, podobna do
[klatki.

Ku tej sernicy Wojski z Woźnym mleczkiem
[idą,
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby
[dzidą;
Za nimi ochmistrzynie dąży przez konopie
I kuchcik, małe, ale bardzo silne chłopię.
Przyszedłszy, drągi wparli w wierzch słupa
[nadgnęli,
Sami u końców wisząc, pchają z całej siły:
Jako flisy uwieźlą na rapach*) wicinę
Długiem drągi z brzegu pędzą na głębinię.
Trząsnął słup; już sernica chwieje się i wali
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Mo-
[skali,

Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi
Krwia i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki
[pryska,
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa
[błyska,
Siecze różga, od dworu wpada szlachty tł-
[szcza,
A Hrabia od bram jazdę na rozpierzchłych
[puszcza.

Już tylko ośmiu jegrów z sierżantem na
[czele
Bronią się. Bieży Klucznik; oni stoją śmieje,

*) Rapy — progi rzeczne, nagromadzone w rzece kamienie, przeszkadzające w spławie.

Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Klucznika;

On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.

Widzi to ksiądz: zabiega Klucznikowi drogę,

Sam pada i podbija Gerwazemu nogę;

Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał.

Ledwie olów prześwisnął, już Gerwazy wstał,

Już wskoczył w dym, dwom jegrom zaraz głowę zmiata.

Uciekają strwożeni. Klucznik goni, płata;

Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem;

Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,

I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,

Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał;

Bo przeze drzwi jęk słychać, wrzask i gęste raży.

Wkrótce ucichło wszystko. Wyszedł sam Gerz mieczem krwawym. [wazy

Już szlachta odzierżyła pole,

Porozpędzanych jegrów ściga, rąbie, kole,

Ryków sam został; krzyczy, że broni niezłóży,

Bije się; gdy ku niemu podszedł Podkomorzy,

I wznosząc karabelę, rzekł poważnym tonem:

„Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem.

Dałeś próby rycerzu nieszczęsny, lecz mężny,

Twojej odwagi: porzuć opór niedoleżny,

Złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim:

Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem

[moim!“

Ryków Podkomorzego zwalczony powagą,

Sklonił się i oddał mu swoją szpadę nagą,

Skrwawioną po rękojeść, i rzekł: „Lachy

[braty!

Oj biada mnie, żem nie miał choć jednej ar-

[maty!

Dobrze mówił Suwarów: „pomnij Ryków
[kamrat,
Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!“

Kulik.

(*Juliusz Słowacki*).

Oto zapusty! dalej kulikiem
Każdy wesóły a każdy zbrojny,
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.
Dalej kulika w przyjaciół chaty,
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą.
Nie trzeba wdziawać balowej szaty,
Ani okrywać czoła żałobą.
Tak jak jesteśmy dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą...
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy cali.

Ha! ha! koń parska, rade nam dwory;
Nie trzaskaj z biczem, niechaj śpi licho.
Szybko po drodze tak jak upiory
Śmigajmy szybko, cicho — i cicho.
Niech sanki świszczą,
Jak błyskawica,
W okrąg księżycy:
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą.

Cha! cha! cha! jak nam wesoło.

Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.

A kto chce zostać, więc dobrej nocy,
 Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
 Niech śpi spokojnie, my bez pomocy
 Tak jak jesteśmy, dalej i dalej — etc.

Stójcie tu! stójcie, oto dwór biały
 I światło w oknach, dam znak, wystrzelę.
 Odpowiedziały mnogie wystrzały,
 Ha! dobra wróżba, wszak tu wesele.
 Tu szlachta pije, wyprawia gody,
 Drużby za nami! swaty za nami!
 Do młodej panny, chodź panie młody.
 Lecz nie patrz na nią, zalaną łzami,
 A łzy kobiecie zmiękczą ci serce.
 Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce,
 Teraz za nami, tak z bukietami
 Tak jak jesteście... dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlacheica:
 Dam znak, wystrzelę... nie ciszej! ciszej!
 Znała wpadniemy, nikt nie usłyszy.
 Przebóg! tu pogrzeb, błyszczy gromnica...
 Porozwieszane w oknach całuny
 I stoi truna, a koło truny
 Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło!
 Cha! cha! co robić? tu nie wesoło.
 Lecz po co długie prawić androny,
 Mój panie synu, prosimy z sobą.
 Daj na pacierze, zostaw na dzwony,
 Zabierz przyjaciół... Z czarną żałobą
 Tak jak jesteście, dalej i dalej... etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
 Szlachcic zamieszkał, więc drzwi uchylę...
 Zielonem suknem stolik wybity
 A na stoliku świecą pamfile.

Panowie szlachta! do djabła karty,
 Dalej do broni! a karty w kąty.
 Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
 I delfin grają; może kto czwarty
 Do gry zasiądzie i na kozery
 Będzie błękitne rzucał papiery,
 Które już dawniej spadły na cztery
 I jeszcze spadną... Mości panowie!
 Niech w karty sami grają królowie
 A my do koni, dalej! i dalej! etc.

Stójeie tu! stójcie! tu zamek stary,
 Na hasło mnogi strzał odpowiada.
 Zamorskie widzę jakieś maszkary;
 Panowie bracia! to maskarada.
 Szaty w dziwaczne lepione wzory...
 Słuchajno! słuchaj mój włoski panie,
 Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
 Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie,
 Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
 Nie, mniejsza o to, Włoch, Korsykanin,
 Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
 Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
 Tak jak jesteście, dalej! i dalej! etc.

Stójcie! tu stójcie! nowa gościna:
 Już w oknach wszelkie światło pogasło,
 Dam znak, wystrzełę, nie — poco hasło,
 Tu śpią, nie słyszą, nie nasza wina,
 Że sen przerwiemy... Stukam we wrota...
 Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
 Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
 „O nie, on nie śpi, pan mój i dzieci,
 „Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
 „Wyszli na czele zbrojnej czeredy;
 „A teraz cicho, pusto we dworze,
 „Wyszli na wroga, czy wrócą kiedy?“

Widzicie bracia, mylą pozory;
 Takiemu panu błogosław Boże.
 Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
 Jedźmy więc sami, dalej! i dalej! etc.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
 Lecą i lecą, a z pod kopyta
 Pryskają iskry, połyska błonie
 Śmigają sanki, już świta! świta!
 Na niebie blednie czoło księżycy,
 Droga skończona, oto granica,
 Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
 Noc rozwidniała,
 Zagrzmiały działa ...
 Oto jest kulik Polaka.

Czemu, Mistrzu, masz siwiznę?

(*Krasiński*).

Czemu Mistrzu, masz siwiznę?
 Stokroć młodszą mej młodości?
 Boś za młodu miał ojczyznę,
 A ja tylko proch jej, kości.

Czemu, Mistrzu, dotąd tleje
 Zar ci w piersiach niezrównany?
 Boś za młodu znał nadzieje,
 A ja tylko zwątpień rany.

Z grobuś nieraz wyrzał w górę,
 Czuł już dreszcze zmartwychwstania,
 Jam wciąż patrzył tylko w chmurę,
 Która Boga mi przesłania.

Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarką,
 Co wykuwa żywot cały,
 Choć przeminie sama szpalko,
 Cios jej dłuta wiecznotrwały.

Więc już zwiądłem — gdyś ty dzielny!
Gdyś żyw jeszcze, mrę nikiemnie,
I nie będę nieśmiertelny!
Ach szczęśliwszy ty odemnie.

Odpowiedź K. Koźmiana.

Wyniosły wieszczu! w męczeńskiej koronie,
Iskrę twych ogni wrzuciłeś daremnie,
Pruchno i popiół znalazła w mem łonie,
Ledwie zatlała, już zagasła we mnie.

Los i cierpienia wspólne nam są obu,
Gdy cios morderczy wydarł matce życie,
Ja płaczę, jak syn schylony do grobu,
Ty, jak od piersi oderwane dziecko.

Choć mu pokarmu obca pierś nie skąpi,
Odwraca usta jakby od trucizny,
Cóż nektar matki dziecięciu zastąpi,
Więdnie bez niego — jak ty bez ojczyzny.

Ach krzep się! duszy niech cię wspiera siła,
Osierocony, nie jesteś sierotą,
Ostatnie dziecko, co matka powiła,
Jest starszych braci pieczęcią.

Jego kwilenie rzewne przypomina,
Bolesnej straty ostatki,
Tem większy urok czerpie w niem rodzina,
Im podobniejsze do matki.

Wieszczu, z twych trenów smutku i żalości
Niech zna Polska i potomność cała,
Jakiej ta matka godna jest miłości,
Co takich synów wydała.

Do Tatrów.

(Z pieśni Janusza).

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe!
 Zdawnaście znane, a wiecznie nowe!
 Choć myśl i oko przy was się upaja,
 Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością!
 Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
 Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością;
 Bo nie wziąć myślą co oko zakreśli,
 Ani wziąć okiem co ogarną myśli
 Ani was ująć, ni duchem wyświecić;
 Ni w was się wcielić, ni nad was wylecić;
 Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
 I rozegrana — bo nikomu górą...
 I gdyby nie lud, co dumne te czoła
 Ile przepaści oplątał ścieżkami,
 I prostym zmysłem zaludnił dokoła
 Ten świat w obłokach swojemi gadkami;
 Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
 Rozjaśnia wasze ponure milczenie,
 Widok ogromu byłby bez pociechy,
 Bo duch pojmuje tylko ducha technienie...
 A wy strażnice śniegami świecące,
 Stoicie wiecznie niemo i surowo,
 I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
 Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

G o p ł o.

(Deotyma).

Tysiąc wspomnień jak flota pływa w sercu mem,
 Jasno mi jak przy zorzy! jak na wiosnę
 [błogo!...]
 Lecz nie jestże to złuda?... nie byłoż to snem?
 Widoki tak czarowne tylko śnić się mogą!

Kiedyż jeszcze tobą zasnę
 O mój śnie nad sny?
 Szłam przez wody wielkie, jasne,
 Przez rosy i mgły.

Szelest wodny mówi, wzrasta
 W stu pokoleń szmer...
 Wśród nich widzę jak duch Piasta
 Dziejów wie dzie ster.

Jego łódka wieczna chwała,
 Jego wiosłem własny trud,
 Jego czołem Polska cała,
 Jego sercem lud!

Duch Popiela drząc zdaleka
 U wieżycy strasznych bram,
 Patrzy w Piasta i narzeka:
 »On z narodem — a ja sam!«

I znów cichną dziejów burze,
 I za duchem znika duch...
 Tylko pluszczą wodne róże,
 I łabędzi błyska puch.

Jak ta woda mnie zachwyca!
 Żywym mi się wzrokiem zda;
 Gopło, to Polski żrenica;
 Gopło, to jej łza.

Co jest Ojczyzna?

(A. z Siecina Krasicki).

Co to Ojczyzna? to nasza dziedzina,
 Niegdyś płynąca i mlekiem i miodem:
 To, o czym młode serce śnić zaczyna,
 Co duszę męża swym orzeźwia chłodem!...

Usilnych dążeń cel rzewny i miły,
 To, co pociesza i to co unosi,
 To, czego czasu zęby nie skruszyły,
 I nad czem oko łzę miłosną rosi!...

Co to Ojczyzna? to chata uboga,
 Na której bocian przy gnieździe klekocę,
 To hoży młodzian, dziewica chędogą,
 W domowym sadzie płożące owoce!
 Ojce poważni, co pod lipą gwarzą,
 Skromna dziewoja pod rodzicy strażą;
 I cnót domowych wdzięczne wychowanki:
 To nasze matki, siostry i kochanki!

Co to Ojczyzna? Sanu modre fale,
 W których się ryba kąpie srebrnołuska,
 To słowik, co swe wyśpiewuje żale,
 Chyża jaskółka, co te fale muska!
 To Tatry, śnieżnym błyszczące szeregiem,
 Zielony Beskid i to Morskie oko,
 I ukraszone rozlicznych wód biegiem,
 Te rozpostarte rozłogi szeroko!

Co to Ojczyzna? orzeł srebrnopióry,
 Co nad Połonin unosi się szczyty,
 Jesiennem słońcem ubarwione bory,
 Rozkoszne knieje, omszone granity!
 Powiewna brzoza, co ją wiosna stroi,
 Łąka uroczem kwieciem umajona,
 I ta kapliczka, co samotna stoi,
 Lampą płożącą, tej niwy korona!

Co to Ojczyzna? to nasze zawody,
 I nasze klęski, i nasze nadzieje,
 To biały gołąb: starzec siwobrody,
 Co nam ubiegłe opowiada dzieje!...

Tak, drogę czynów obrać nam potrzeba,
 Bo ta prowadzi do wolności nieba;
 I niechaj mistrze, natchnieni od Boga,
 Swą pieśnią głoszą, kędy wiedzie droga.

Niech pieśń ich wskrzesi miłość w zimnem
 [łonie,

Niechaj w niem nowy zapal znów rozplonie,
 Byśmy wytrwali na drodze cierpienia,
 Póki nie ujrzymy jutrzeńki zbawienia.

Więc zabrzmi, lutnio, radosnymi tony,
 I niechaj zapal, twą pieśnią wskrzeszony,
 Napełni serca, dręczone zwątpieniem,
 Upadające pod ofiar brzemieniem!

I niech zapragną po wiekach cierpienia
 Z win ojców, z własnych błędów... odro-
 [dzenia!

Niechaj nabędą hartu, woli siły,
 Aby wydobyć się z dziejów mogiły.

Śląk moja Ojczyzna.

(Czesław Lubiński.)

Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców
 [słynie,

A lud z ubóstwa i rzadkiej prostoty?
 Gdzie marny kruszec w obcych ręce płynie,
 A ludek w sercu swem drogie klejnoty
 Przed cudzem okiem i światem ukrywa,
 By nie sięgnęła po nie ręka chciwa —
 Znasz ty tę ziemię, znasz ten lud poczciwy,
 Znasz przyjacielu, naszych chłopków serca?
 Och, znasz je może, jak ci je kłamliwy,
 Jak cudzoziemczy opisał oszczerca! —

Ze zbioru: Jan Przybyłek

Piekary Śl. Reja 9.

XXx v/1328/v/1964

Śląsko! — słowo czarującego uroku,
 Ojczyzno! — Węźle uczuć tajemniczy!
 Nie zdołam ni myśli dziwnego toku,
 Ni leż, ni uczuć burzliwej słodyczy
 Dłużej przytłumić; więc niech się lzy leją,
 Myśli swobodnie sobie pobujają;
 Niech słodycz i gorycz serce koleją
 Karmią, aż w radość cierpienia roztają.

Śląsko! Ojczyzno, kraju ulubiony,
 Od cudzoziemej głupoty wzgardzony,
 Wzgardę miłością niweczą twe syny,
 Kochając Ciebie nad wszelkie krainy.

Gdzie bystra Odra toczy swoje wody
 Śród ciemnych lasów i łąnów złocistych!
 Gdzie schludne domki, wesołe zagrody
 W dolinach i po wybrzeżach skalistych,
 Jakby na kobiercu kwiaty rozsiane;
 Gdzie się po polach pieśni rozlegają,
 W drogim po ojcach języku śpiewane;
 Gdzie w lasach dziki i łąnie bujają,
 I gdzie z kominów niebotycznych chmury
 Dymu się wiją, płomienie buchają,
 A młoty w kruszec, jakby taran w mury,
 Z trzaskiem piorunu stale uderzają,
 Tam moja Ojczyzna, to mój Śląsk kochany.

Gdzie w sercach ludu jędrne czucie żyje
 Dla polskiej niegdyś ojczyzny i matki; F.

Na jej wspomnienie serce żywiej bije,
 Jak gdy wygnane czasem z domu dziatki
 Na przeszłość spojrzą, jak na senne mary,
 Gdzie miłość bratnia wsze serca kojarzy,
 Gdzie każdy kmiotek jest jakby na straży
 Swej mowy ojcowskiej, swej świętej wiary, —
 Tam moja Ojczyzna, to mój Śląsk kochany.

*F. a dris - czy ta Polska jest prawdziwą
 matką dla wszystkich?*

Głos z wygnania.

(*Seweryna Duchńska.*)

Miałem ci ja nizki dworek z bielonemi ściany,
Gdzie na gruszy poza płotem siadały bociany.

Ej! nie moje to już wrota i nie moje płoty,
Uwieńczone kwiecistemi powojów uploty.

Nie mój cichy ten ogródek, kędy wiśnie
[rosną,

Białym kwiatem, niby śniegiem, oblepione
[wiosną.

Nie moje to już ognisko, nie mój dym z ko-
[mina,

Co ulatał ponad dachem, niby wstęga sina.

Ej! nie moje te zagony, kłosem falujące,
Ni złociste one jaskry na zielonej łące;

Ani stary ten kościółek, ni dzwony co były,
Kiedy trumny rodzicielskie kładzono w mo-
[gily.

Nie mój nawet drobny kęsek tej cmentarnej
[ziemi,

Choć do gruntu niegdyś łzami przesiąkł
[sierocemi.

I nie mój ten krzyż omszały na rozstajnej
[drodze,

Oj! niewiele z ojcowizny zostało niebodze.

Tylko moją ta fujarka z gałązki wierzbowej,
Co wyrosła nad potokiem w pobliżu dąbrowy,

Wykarmiona pieśnią ptasząt i zioł licznych
[wonią,

Syta dźwięków tych pastuszych, co w po-
[wietrzu dzwonią.

Fujareczko, ty wierzbowa, mój skarbie je-
 [dyny,
 Z tobą zbiegam obce wzgórza i cudze do-
 [liny ;

Ty mnie wieszysz, druchno wierna, przez
 [ten świat szeroki,
 Wydeptany od ćwierć wieku tułaczemi kroki.

Ty z powiśla, czarodziejko, pogwarzasz mi
 [wieści,
 Przypominasz, jak w dąbrowie suchy liść
 [szeleści ;

Jak tam kwitną macierzanki, w polu maczek
 [płonie,
 Jak rozsiewa bór sosnowy w krąg żywiczne
 [wonie.

Fujareczko, ty mój skarbie cenniejszy nad
 [złoto,
 Ty mnie krzepisz, ty z palącą godzisz mnie
 [tęsknotą...

Wyrzucone obie z gniazda na głuche bez-
 [droże,
 Idźmy śmiało i wołajmy: »Pomagaj nam,
 [Boże!«

Niechaj zgniłe te podmuchy, co tu z bagnisk
 [wieją,
 Nie zatrują nas, nie skłóćą z wiarą i z na-
 [dzieją ;

Niech piosenka, szczera, żywa, przeczysta
 [i świeża
 Z rosą płynie tam, z kąd rodem, na mych
 [wód wybrzeża!...

Napróżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście —
Jak jesienne wędnał liście,
A smutki serce mu bodły.

Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I mniema, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne.

Wtem niebo znak dało grzmotem,
Pioruny trzasły
Ognie zgasły,
Wicher drzwi wyparł z łoskotem.

Wchodzi najprzód księżyc blady,
A za nim w ślady,
Jakaś poważna osoba —
Na niej żałoba,
Smutna postawa,
Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwie,
Drży zdrajcy serce lękliwe!
Widzi, nie wierzy,
Włos mu się jeży,
I krzyczy: »To strachy czyje,
»Stój! bo zabiję!«

Ale postać blada,
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko zcicha
I wzdycha.

W tenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ognistą,
Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął;

Kula krwi pragnąca
Z hukiem powietrze roztrąca,

Środek postaci przeszyla —
 Ale ona wolnym krokiem,
 Z milczeniem głębokiem,
 Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodnia ramieniu drżącym
 Wspiera się łokciem oziębiającym,
 I odpoczywa.
 On mdleje —
 Pot leje,

I za drugą broń porywa.

Wtem ona do niego rzecze,
 Głosem takim, jakim ciecze
 Słodki strumyk, lutnia brzęczy,
 Lub po mogiłach wiatr jęczy:

»Stój! mnie kula nie zabije,
 »Na waszym świecie nie żyję.

»Synu! ty w ciemnym zamknąłeś mnie
 [grobie,

»A ja przychodzę dać ratunek tobie.

»Widzę twą duszę smutkiem obciążoną —

»Chcesz spocząć, pójdziem na wieczności
 [łono,

»Ja ci prześaczam, bo nie matki czynem
 Mścić się nad synem.«

Wtem razem wstrzęsły się gmachy,
 Zadrżały dachy,

Jękła noc blada —

Przez okno wpada

Duch czarnej postaci!

I rzecze głosem zagrzmienia:

»Nie masz, nie masz przebaczenia

»Temu, co przelał krew braci.

»Pan przedwieczny, sprawiedliwy —

»Stań przed Jego sąd straszliwy.«

Tak wyrzekł, i wnet ponury
 Ciało zbrodnia w łożę cisnął,
 Duszę w ciemne porwał chmury —
 Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

Dom Polski.

(Józef Kościelski.)

Jest między ludem odwieczne podanie
 O rzeszy karłów podziemnych i gnomów,
 Co rozłożyli swoje panowanie
 Pod urwiskami gór, wśród skał załomów;
 I tam, gdzie stopie ludzkiej niedostępna
 W głąb' ziemi wiedzie kręta, skalana ścieżka,
 Na wielkie losy świata obojętna
 Posępna rzesza ziemnych karłów mieszka.
 Mieszka i strzeże skarbów: gdy na świecie
 Cokolwiek przemoc zdławi i zagarnie,
 I łzy, co roni uciśnione dziecko,
 I sny młodzieńcze, podeptane marnie,
 I dźwięki pieśni rzewnej niepojęte,
 Zgłuszone gwarem cheiwej łupów tłuszczy,
 I poświęcenia ciche, mężne święte,
 I myśl co z ludzkich badań się wyłuszczy;
 Wszystko, co w życia gorączkowym wrzątku,
 Choć ziarna pełne, niepłodnie zaginie,
 Co kończyć musi, nie mając początku,
 Co mogąc wieczność żyć — kona w godzinie,
 To wszystko z gruzów podjąwszy i zgłiszczy,
 Skrzętna dłoń karłów składa w swe zasieki;
 Co tam złożone, wraz światłem zabłyszczczy
 I już klejnotem jest po wszystkie wieki.
 Więc to, co w pereł świeci rząd ujętem,
 To było niegdyś łzą ludzkiego żalu;
 Niezrozumiała pieśń jest tam djamentem,
 A czyn niepłodny iskrzy się w opalu.

I ani zgadłbyś, że te ametysty,
 Że te szmaragdy, topazy rubiny,
 To niegdyś ludów gościniec ciernisty,
 Lub krew serdeczna, przelana bez winy!...
 I skarbiec gnomów rośnie w każdej dobie,
 Bo na imienia ludzkiego zakale
 Po każdej krzywdzie, po każdej żalobie
 Stosy klejnotów piętrzą się pod skałę,
 Aż gdy się każda zapełni szczelina,
 Na krzywdy miejsca zbraknie w ziemi na
 [dnie,

Sprawiedliwości wybije godzina
 I gmach bezprawia z trzaskiem się rozpadnie.
 Wówczas klejnoty rozsypią się hojnie
 Dla całej ziemi zdobyczą radosną,
 Wieczny mir wszędzie po odwiecznej wojnie,
 A ziemne karły w olbrzymów wyrosną.
 Czyż polska strzecha nie z baśni pieczarą?
 Do której co dnia nędzne, ziemne karły
 Odnosim skrzętnie z miłością i wiarą
 Siły, co w walce życia obumarły?
 To, co zdeptane, zbrukane, zatrute,
 To, co zawiedło, zanim się zrodziło,
 To, co zamilkło, nim wezbrało w nutę,
 To, co przestało być, ach! — zanim było;
 To, co po świecie robactwem zaległem,
 Zarazy trądem zaszło, albo błotem,
 To wszystko pod jej świętym, cichym węglem
 Znowu na wieki staje się klejnotem.

Królowa Jadwiga.

(*S. Duchńska.*)

Witaj, witaj nam Krakowie, ty grodzie wspaniały,
 Stary stróżu i piastunie narodowej chwały.
 Z łona twego wszak wybiegła promienista zorza,
 Co kraj wielki ogarnęła od morza do morza.

I któż roztlął brzask jutrzeńki na ojcystem niebie?
 Ty Jadwigo! ty królowo! ach! widzę ja ciebie:
 Ty się modlisz, bo dzień próby straszliwy się zbliża,
 A zbawiciel odjął z cicha prawicę od krzyża,
 Nad twą głową ukorzoną skreślił męki znamię
 I uzbroił na zapasy twe młodziuchne ramię.

Cud! cud Boży! jakaż jasność tryska ci z oblicza.
 Świętym ogniem rozgorzała twoja pierś dziewicza.
 Wyzwolona z pęt, — czem dla niej te ziemskie boleści?
 Patrzysz w przyszłość jasnym okiem, nie trwożą cię
 [wieści

O kudłaczu z puszczy litewskich, co twój tron podzieli!
 Inne słowa tobie szepcą niebiescy anieli:
 Oni w dali ukazują dusz ludzkich tysiące,
 Zgrzęzłe w mętnych trzęsawiskach, przed Perkunem
 drżące,

Jak przez ciebie wydobyte z wiekowej pomroczy,
 Pierś napoją żywą rosą, — spojrzą słońcu w oczy,
 Jak w ich żyłach nowe życie krzyż cudem rozbudzi
 I tę dziką trzodę leśną chrzest przemieni w ludzi.

Zrozumiałaś głos anielski, córo Piastów godna,
 I ofiarną swoją czaszę wnet spełniłaś do dna,
 I nie czujesz jej goryczy, boś objęła wzrokiem,
 Wielki obszar między Wartą a Dnieprem szerokim;
 Kędy Wisła szumi biała, kędy Niemen bieży,
 Z ziarn przez ciebie porzuconych kielkuje plon świeży,
 I ogarnia duszę twoją radość nieskończona,
 Bo na zgłiszczach starych kontyn krzyż rozwarł ramiona.
 Ale krótkie dni twych pasmo, już kres niedaleki
 Już omdlały barki twoje, mrok padł na powieki,
 Grób cię woła, już śmiertelne czujesz w żyłach dreszcze,
 A nad drogą tobie Polską serce czuwa jeszcze.

Twój małżonek u węzłowia cały we łzach tonie,
 Cenne perły i klejnoty podajesz mu w dłonie,
 I ostatnie z ust twych drżących dobiegły go słowa:
 »Władysławie, za te skarby, tu w murach Krakowa
 Zbuduj szkolny gmach dla polskiej i litewskiej młodzi;
 Niech z ogniska tego światło na kraj się rozchodzi,
 Widzę, widzę, w mgłę przyszłości, jak za łaską Bożą,
 Nad narodem promienistą rozpostrze się zorzą!«
 Pragniesz mówić, ale słowo na twych ustach kona,
 I w milczeniu złoty krzyżyk przyciskasz do łona.

Ach! ta zorza rozniecona tchem twej piersi czystym,
 Płonać będzie na wiek wieków nad domem ojcystym,

Nie zgasiły jej śnieżyce ni gradowe burze,
 Prastuletnie chmur tumany, ona świeci w górze,
 Bo co stworzy moc ofiary, na wieki trwać musi,
 Tyś spełniła ją dla Polski, dla Litwy dla Rusi,
 Przez zasługi, przez łzy twoje... o święta królowo!
 Zorza chwały twoim ludom rozbłyśnie na nowo.

Syn do matki

(Agnieszka Baranowska.)

Gdy ja dorosnę, matko moja droga,
 Będiesz się synem cieszyła,
 Bo miłość prawdy, cześć i wiarę w Boga
 Tyś w serce moje wszczepiła.
 Uczyć się będę, pracować szczerze,
 Służyć krajowi w potrzebie,
 Zdrowie i życie oddam w ofierze!...
 Tegom się uczył od ciebie.
 Gdy ja dorosnę, o matko moja,
 Praw świętych będę żołnierzem,
 Błogosławieństwo twoje, promienna zbroja,
 Swym mnie osłoni puklerzem.
 I pójdę walczyć mieczem ognistym
 Przeciw ciemnych duchów złości,
 Zasiewać będę w polu ojczystem
 Ziarna wiary i miłości.
 Dojrzałym mężem choć będę — kochana!
 Ty mnie nazywaj dziecięciem,
 Ja, — jak przed Świętą — padnę na
 [kolana,
 Tęskniąc za twojem objęciem.
 Głowa przed tobą ma pochylona,
 Jak polne pod stopą kwiatki,
 Ty ją do swego przytulisz łona,
 Bo świętym jest uścisk matki.

Raławice.*)

(*Duchińska.*)

Raławickie pola nasze! wam na wieki chwała!
 Tu się jedność krwią ofiarną w sercach zapisała,
 Krwią potężnych i małuczkich, spodem z żył pociekła,
 To chrzest pierwszy narodowy, on zwycięży piekło!
 Od tej doby, gdy Jan Trzeci rozgromił księżyce,
 Noc zapadła, — nowym brzaskiem błysły Raławice.
 Z tego brzasku prędzej, później, nad krajem ojczystym
 Nasze słońko się roztoczy wieńcem promienistym!
 Hej Bartoszu nasz Głowacki! z hartowanej stali
 Wykonana kosa twoja w pień wali a wali,
 A gdy krzykniesz: »Za mną chłopcy!« gromada zu-
 [chwała
 Siecze Moskwę — niby trawę, rzuca się na działa...
 Górą nasi! wróg ucieka... noc... trupów bez liku...
 A nad nimi sierp roztoczył miesiąc na nowiku,
 Zmordowane śpią szeregi... Gdy błysło zaranie,
 Z czat ustąpił wódz naczelny — w wieśniaczej sukmanie.
 Raławickie pola nasze! wam na wieki chwała!
 Tu się jedność krwią ofiarną w sercach zapisała.

Do Polki.

(*Seweryna Duchińska.*)

Pokój domowi temu, gdzie polyska
 Domowych uczuć płomień niewytlony,
 Kędy na straży wiernie u ogniska
 Czuwa niewiasta! — O! błogosławiony
 Ten próg, za którym, jak w arce przymierza,
 Kryje się wiara i obyczaj święty,
 Gdy powódź huczy, grom z niebios uderza,
 Gromy i burze on przetrwa nietknięty.

*) Poezye: »Królowa Jadwiga« i »Raławice« wyjęte są z dzieła: »Królowie polscy w obrazach i pieśniach.« Znajduje się tam piękna pieśń Seweryny Duchińskiej o każdym polskim królu.

Niewiasto polska, cześć tobie i chwała!
 Ty czerpiąc siłę w czystym wisry źródłu,
 Wybiegniesz z arki, jak gołąbka biała,
 I onę różdżkę oliwną pokoku
 Uszczkniesz i podasz twym braciom w rozterce,
 I wzrośnie w drzewo ta latorośl krucha,
 W liść ją zielony rozwinie twe serce
 A rdzeń jej skrzepi dzielność twego ducha. —
 Och! bo ty Polko, tyś wyższa, niż one
 Jerozolimy córy, łzą pojone,
 Gdy z łąk ojezystych nie stało im kwiatu;
 One, zrzuciwszy perły i purpurę,
 Siadły nad cichym brzegiem Eufratu,
 Z wzrokiem utkwionym w piorunową chmurę,
 I zawiesiły drżące lutnie głucho
 Na wierzb konarach, aby dźwięk ich złoty
 Nie budził wspomnień, nie koił tęsknoty,
 I w dniach żałoby nie zabrzmiał otuchą.

Polska niewiasto! ty dźwigasz inaczej
 Twój krzyż wśród ciężkich żywota zawiei,
 Twa złota lira nie zmiłkła w rozpacz, —
 Lecz z niej dobywasz błogi dźwięk nadziei,
 I choć w sieroctwie pierś twa bólem pęka,
 Trąca w jej struny nieskalana ręka,
 A chór aniołów, wtórzając pieśni w górze,
 Zgania wiszącą nad twym domem burzę.
 Ty ją zażegnasz dzielnym tchnieniem wiary,
 I plon się Boży rozrodzi w tym progu,
 Na łzy i trudy, prace i ofiary.
 Niewiasto polska, pozdrawiam cię w Bogu!

Gdzie moja Ojczyzna?...

(Światopłuk od Gdańska.)

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
 Tam, gdzie w cieniu drzew odwiecznych

Pobielany domek stoi,
 Gdzie się, brzęcząc, pszółka roi,
 Gdzie przeżyłem wśród serdecznych
 Ludzi chwile mej młodości,
 Tam jest, tam Ojczyzna moja;
 Kto ją zna, ten mi zazdrości.

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
 Gdzie zielone pól kobierce
 Srebrny strumyk rozgranicza,
 Gdzie, ścierając pot z oblicza,
 Pracowali, których serce
 Moje szczerze ukochało,
 Tam jest, tam Ojczyzna moja;
 Z czią wspominać ją przystało.

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
 Gdzie Bałtyku srebrne piany
 Łączą szum swój z szeptem borów;
 Podczas długich tam wieczorów
 Lud Kaszubów, lud kochany
 Skarży się na losy srogie;
 Tam jest, tam Ojczyzna moja,
 Tam mi wszystko miłe, drogie.

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
 Tam, gdzie wznosząc się w błękity
 Krąży szybko białe ptaszę,
 Od porohów aż po naszą
 Ziemię i po Tatrów szczyty,
 Gdzie lud wierny, dzielny, śmiały,
 Tam jest, tam Ojczyzna moja;
 Jej poświęć żywot cały!

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
 Od Alp śnieżnych za Bałkany,
 Od Bałtyku do Euxynu,
 Gdzie lud cnoty, serca, czynu,

Gdzie lud Słowian uciskany
 Wątek życia w smutku snuje,
 Tam jest, tam Ojczyzna moja;
 Serce me się w niej lubuje.

Kocham cię, Ojczyzno moja!
 Kocham ojców dom i łany,
 Kocham szczerze kraj Mestwinów,
 Kraje Piastów, Giedyminów,
 Kocham was, bracia Słowiany,
 Kocham ziemię Asarmota!
 Kochać cię Ojczyzno moja,
 Obowiązek to i cnota.

Jan Trzeci Sobieski.

(Konopnicka.)

A za tego króla Jana,
 Co to po łąbach bił pogana,
 Przyszły posły i rozjemce!
 — Ratuj królu! Gina Niemce!

Turek na nas następuje,
 Szyjom naszym miecz gotuje,
 Naszym wieżom księżyc w nowiu,
 Naszym dziatkom — chrzest z ołowiu!

Jak dobędą Wiedeń stary,
 Krwawo poczną uczyć wiary,
 I postawią ciężkie stopy
 W samem sercu Europy.

My — siłami niemieckimi
 Nie obronim naszej ziemi,
 Zginiem — knechty i rycerze...
 Ratuj — królu — bohaterze! —

Król się porwał rozgniewany:
 — Wiara, krzyknął, bisurmany,

Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci!

Miecz mi dajcie!... Hej trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

— Niech hussarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w rękę,
Luzak z koniem, koń w obłoku.

— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spocznę, klnę, się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada!

Posłyszała Polska króla;

Koń u żłobu uszy stula,

Rycerz ostrzy miecz stalowy,

— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią w trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!...

.....
Za trzy zorze i trzy noce,

Polska wiara Turka grzmoce,

Aż się szcerbi kosa śmierci

Na buńczukach z końskiej sierci!...

Grzmia armaty, świszczą kule,

Z dziwem stają obce króle,

Wyciągnęli długie szyje,

Patrzają, jak to Polak bije.

Turek włosy targa w brodzie,

Król rumaka piętą bodzie...

— »Hej! na obóz! Naprzód wiara!«

Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak wiatr lecą, jak grom walą,
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.

— »Naprzód!« ...

Wzięli namiot wroga.

Co miecz puścił — bije trwoga...

A po świecie okrzyk leci:

— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

III. PRACA I PRZEMYSŁ.

P r a c a.

(Kazimierz Brodziński.)

Dwie posłanki z dworu Pana
Idą ku nam zawsze z rana,
 Siostrami wzajem się głoszą,
 Na wagach dary roznoszą;
Ta do trwogi, lub tęsknoty,
Mięsza chwałę, kruszec złoty;
 Z płochości, albo obłudy,
 Fortuną zowią ją ludy.

Druga skromnie między gaje,
Między pola się udaje,
 W kłosistym wieńcu na czole
 W ochoczem stawia się kole;
Zdrowiem, szczęściem darząc życie,
Lubi trudy i ukrycie,
 A pracy bóstwem się mieni;
 Jej siostra mało ją ceni.

Do niej spieszcie ziemi dzieci,
Którym świetny los nie świeci,
 Bo ona o was troskliwa,
 Fortunie klucze porywa,
Napój mieni w Nektar boski,
Radość budzi, tuli troski,
 Kwitnące wije wam zdrowie,
 I z maku ściele wezglowie;

Jako matka ubłagana,
 Wiedzie córkę do młodziana,
 Co niegdyś płocha, wstydliva,
 Dziś śluby czyni mu tkliwa:
 Tak swobodę praca rodzi,
 Tak ją sama w dom przywodzi.
 Bez matki zawsze jest płocha,
 Z jej tylko ręki nas kocha.

Kto ku pracy ręce skłoni,
 Nie uniży w dworach skroni,
 Wolności bóstwo mu wszędzie,
 Dni złotych pasmo uprzedzie;
 Dla poddańców uprzedzenia
 W niewolnika się zamienia.
 Psuć myślom skrzydeł nie daje,
 Bezkarne z prawdą przestaje.

Przeto komu kwitnie zdrowie,
 Niech próżniactwu hołd wypowie,
 Śpiewając pieśni swobody,
 Niech mija zamki i grody;
 A gdziekolwiek z losem zajdzie,
 W całej ziemi matkę znajdzie,
 Bo praca skarbiec dziedziczy,
 Którego nigdy nie zliczy.

Polski przemysł niech nam żyje.

(J. Szastecki.)

Polski przemysł niech nam żyje,
 Przemysłowi cześć!
 Bo w nim dążeń dziś się kryje
 Narodowych treść!

Brak przemysłu dawniej dwoił
 Narodowy trud;
 On pomostem, który spoił,
 Z szlachtą polski lud!
 Lecz nauki nam potrzeba,
 By osiągnąć szczyt!
 Pracą sobie skarbmy chleba,
 Zapewniamy byt!
 »Więc do pracy w każdym stanie!«
 Niech wciąż hasło brzmi,
 Przemysł polski zmartwychwstanie,
 Z nim szczęśliwe dni.
 Każdy bo z nas, który spłaci
 Własnej biedy karb,
 Przez to samo już bogaci
 Narodowy skarb!
 A więc przemysł niech nam żyje,
 Przemysłowi cześć!
 Bo w nim dążeń dziś się kryje
 Narodowych treść!

Stanisław Staszyc.

(Wł. Zieliński.)

Gdy duch narodu słabnąć już począł
 I gmach ojczysty w gruzy się walił,
 Wnet dzielny Staszyc, kiedy to zoczył,
 Do wspólnej pracy serca rozpalil.
 Miłość Ojczyzny to jego hasło,
 Niczem niezrażon, działał wytrwale,
 Chciał, by w narodzie światło nie zgasło,
 By naród jaśniał w świetności, chwale.
 Uczył, że tylko o własnej sile
 Pracować trzeba na ojców łanie,

A znów zabłyśną radosne chwile...

Nie próżne będzie nasze staranie.

On to prawdziwy »Ojciec Narodu,«

Potężnem echem mówi młodzieży:

»Bierz się do pracy, pilnuj zawodu,

Bo w tobie przyszłość ojczyzny leży!«

Dając zaś dowód, jako należy

Służyć Ojczyźnie wedle możliwości,

Staszyc do pióra ochoczo bieży,

Naród naucza, karcici zdrożności.

Chcąc zaś polepszyć dobroć ludu,

Radzi oszczędność i skromność w domu,

Bo one niemal dokażą cudu,

A naród ujdzie nędzy i sromu!

Wszystkim życzliwy, w bratniej miłości

Czynem szlachetnym wieńczy swe skronie,

I między kmieci dzieli swe włości,

Zgodę zaleca w Ojczyzny łonie.

Takich to mężów miała ojczyzna,

Świetne ich czyny jasno nam świecą,

Choć smutno w duszy, choć w sercu

[blizna,

Niechaj w nas one nadzieję niecą...

Dalej, do pracy, rażno wesoło,

Niechaj się gnuśność podła rozprysnie,

Bo komu z trudu schmurzy się czoło:

Temu nadzieja, szczęście zabłyśnie!

Miłość i praca.

(A. E. Odyniec.)

I gniew mnie burzy i żal mię wzrusza,

Ilekroć widzieć mi trzeba:

Jak się anielska piękność i dusza

Unuża w pracy dla chleba.

A tak dziwnego jest coś w tym razie
W owym i gniewie i bólu:
Jak gdybym świętą, com czczył w obrazie,
Ujrzał u żniwa na polu.

I w tem uczuciu zda się odsłania
Tajna przeznaczeń zawilłość:
Czem tu, z Boskiego snać powołania,
Winny być: praca i miłość!

Praca na ziemi jest z sądu Pana
Karą ludzkiego rodzaju:
Lecz mu na ulgę miłość zesłana,
By nie zapomniał o raj.

Pracą grzech ciała odkupić trzeba,
Krewkość utrzymać w pokorze,
Lecz się przez miłość tylko do nieba
Duch oczyszczony wznieść może.

I tylko miłość pracę uświęca,
Jak w pracy dla niej opieka.
Na to Bóg siłę tchnie w pierś młodzieńca,
Dziewicę w piękność obleka.

Wstyd więc młodziana trwodze próżniaczej,
Co się jej zrzeka opieki!
I drżąc przed pracą, woli się raczej
Miłości wyrzec na wieki.

Żal was i za was, córki Adama!
Że wasza miłość i krasa
Zamiast być pracy pobudką, — sama
W ziemskich jej znojach zagasa!

Lecz jest Kto widzi, jest Kto zapłaci,
Ku niemu tylko myśl wzniescie!
I kto wie — żali win męzkich braci
Bóg nie odkupi w niewieście!?

Rolnik.*(Pieśni Janusza.)*

Ludzka praca — Boża wola —
 To kmieć Boży, pług i rola!
 Jak po morza ziemi stało,
 Pług zaorał Polskę całą!
 Kmieć to polski, co nim orze,
 A grunt ojców nie jałowy,
 A pług wierny, bo Piastowy —
 Więc pomagaj wielki Boże!
 Z pługa wyszła bojaźń Boga —
 Bo człek sieje, a Bóg rodzi;
 Przyjaźń ludzka wyszła z broga:
 Bo przy chlebie człek się godzi;
 A z pocziwej ojcowizny
 Wyszła miłość do Ojczyzny,
 Miłość światła i kościoła,
 Kiedy w ulu siadła pszczoła —
 Z pługa poszło miłościwe,
 I co łaskę niebios nieci,
 I co w dziejach jest pocziwe,
 I co Polsce z Boga świeci!
 Więc jak sądził Pan Bóg w wiecu,
 Tako czyń ty, Boży kmieciu!
 Ty się trzymaj pługa wiecznie:
 Bo Bóg — ojciec, ziemia — matka
 I żywota droga gładka,
 Kto na roli siadł statecznie.

Zachęta do pracy.*(Aleksander Brzostowski.)*

Rażno, zwawo do roboty,
 Bo nam Bóg pracować każe,
 Dalej do rąk piły, młoty,
 Bo już piąta na zegarze!

Dość spoczynku — bracia moi!
 Jest na wszystko czas i pora.
 Troski życia praca koi,
 Więc pracujmy do wieczora.

Zegar siódmą gdy wybije,
 »Koniec pracy!« głos zawoła,
 Szum, stuk cichnie, i kto żyje
 Zbiera, składa sprzęt do koła.

Teraz bracie! spocznij śmiało,
 Bo wytchnienia trza po znoju;
 Lub przeczytaj, co się działo
 W dawnych czasach, w ciszy, boju!

Lub zaśpiewaj pieśń wesołą
 W towarzyszy swoich kole.
 Ciesz się, wesel, póki czoło
 Nie zorają troski bole!

W końcu myśl swą wznies w niebiosy,
 I spoczywaj snem spokojnie,
 Aż cię zbudzą dzwonu głosy,
 Jak rycerza strzał na wojnie.

A gdy przyjdzie chwila pracy,
 Znow do dzieła pilnie, śmiało,
 By nie rzekli: »to próżniacy.«
 Trza pracować, jak przystało.

Niechaj pilnik, hebel, młoty
 W rękach naszych znow ożyją,
 I choć skronie skropią poty,
 Niech radością serca biją!

Praca i oszczędność.

(Aniela Milewska.)

Oszczędność — praca — oto są dwie cnoty,
 Których nie znali Polacy,

Skłonni z natury, raczej do szczodroty,
Niechętni do mrówczej pracy.
Brak cnót tych cennych jest główną przy-
czyną

Naszej niedoli dzisiejszej;
Góry i wzgórki — stają się doliną,
I kraj nasz codzień to mniejszy!
Polscy szlachcice przez tak długie czasy,
Złożywszy pracę na kmieci,
Z wrogami kraju wodzili zapasy,
Ginęli w krwawej zamieci.
A kmieć pracując nie na własnej glebie,
Zleniwił także, — niestety! —
Nie nawykł radzić sam sobie w potrzebie,
Zatracił ważne zalety:
Pracę, oszczędność, które budują
Wszelki gmach bytu na ziemi,
Przez które możni na świecie panują,
I ród ich w okół się pleni.
Próżniactwo rodzi zbytki i rozpusty,
Utratę zdrowia — majątku;
Znędzniałe ciało, przytem worek pusty,
To koniec — wedle porządku
Praw wiekuistych, co czeka próżniaka.
A więc do pracy — do pracy!
By nie dotknęła nas niedola taka,
Bądźcie oszczędni — rodacy!
Zbierajcie grosze, — wykupujcie ziemię,
Przez marnotrawców zbywaną,
Aby nam polskie nie zmarniało plemię,
By was leniami nie zwano!
Aby wnukowie nie klęli pradziadów,
Gdy przyjdzie tułać się w świecie, —
I szukać chleba w służbie u sąsiadów...
Niech klątwa prochów nie gniece!!!!...

Życzliwe rady.

(Józef Chmielewski.)

Gdy co robisz — z Bogiem wszczynaj
A nie złorzecz, nie przeklinaj!
A w kościele — to się modlić;
By się nigdy nie upodlić —

Trwać więc zawsze w świętej wierze,
Jak ród stary niegdyś szczerze.
A choćby cię los miał chłostać,
To przy wierze trzeba zostać.

Gdy co robisz — to statecznie,
Zawsze dobrze, pożytecznie,
Byś nie doznał nigdy szkody
I nie wiedział, co zawody.

Gdy co lubisz — to już pracę,
I sumienną, rychłą pracę,
A nie krzywdę, miły bracie,
To ci dobrze będzie w chacie.

A więc pracuj, lecz uczciwie,
A gdy płacisz — to godziwie.
Jak ty robisz, tak i słudzy,
Jak ty czujesz, tak i drudzy.

Dajesz słowo — to rzetelnie,
Byś się sprawił zawsze dzielnie.
W czasie — to dwa razy dajesz,
Pewnie już to sam poznajesz.

Masz co tać — to już stale,
A nie zdradzaj, bracie, wcale.
Gdy się brzydzisz — to pijaństwem,
I oszustwem i cygaństwem.

Gdy ci miłe — to już zdrowie,
Bo to pierwsze każdy powie.
Kiedy kochasz — to prawdziwie,
Nie obłudnie, lub fałszywie.

Chcesz mieć mienie — bądź oględny
 I nie skąpy, lecz oszczędny.
 Wydaj tyle, ile trzeba,
 A nie żałuj drugim chleba.

Kiedy cenisz — to oświatę,
 Bo uzaćni twoją chatę,
 Byt powiększy i podeprze,
 A co takie to i lepsze.

Cenną także — dobra rada,
 Bo z niej często zysk nie lada;
 W niej pociecha i otucha,
 A więc takiej nadstaw ucha.

Szanuj starca, ubogiego,
 Nie zakrywaj serca twego,
 Bo Bóg z nieba czyny widzi,
 On się sercem podłem brzydzi.

Gdy gość przyjdzie — przyjm do chaty
 Czy on biedny lub bogaty,
 Otwórz serce, uracz człeka,
 Czy on z blizka lub z daleka.

Wskaż, żeś Polak, żeś tej wiary,
 Co i dawniej ród nasz stary.
 Nie bądź z tego nigdy próżny —
 Bądź pomocny i usługny.

Kiedy gardzisz — to zazdrością,
 I lenistwem i podłością;
 A kto pyszny lub chępliwy —
 Toć to głupiec jest prawdziwy.

Nie bierz nigdy cudzej rzeczy:
 Że to brzydko — nikt nie przeczy.
 Chcesz być zacnym, miły człeku,
 W jakimkolwiek jesteś wieku,

Bądźże szczery i otwarty,
 A broń Boże nie uparty.

(Wincenty Pol.)

IV. DYALOGI I SZTUCZKI TEATRALNE.

Rozmowa Grzegorza z Jędrze- jem o Ameryce.

Grzegórz (wchodząc do Jędrzeja.) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Jędrzej. Na wieki wieków. Amen.

Grzegórz. Jak się macie, kumotrze, czyście zdrowi i jak się wam powodzi?

Jędrzej. Bóg zapłać. Że zdrowiem jeszcze jako tako, ale z powodzeniem nie tego. Już nawet chciałem do was iść po radę, bo coraz większa bieda, że już nie wiem doprawdy, zkąd kozy gnać.

Grzegórz. A toć nam wszystkim bieda doskwiera, ale co robić, trzeba się bronić, ducha nie tracić, pracować, oszczędzać, to przecież się jakoś przebiedoli. Hale, hale, słyszałem, że się podobno wybieracie do Ameryki i gwoli temu najwięcej przyszedłem, aby się dokumentnie dowiedzieć, czy na prawdę chcecie się tam wyprowadzić?

Jędrzej. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, już mi to dawno po głowie chodzi, a jeno dla tego, że u nas coraz gorzej, a bieda taka, że i siekierą nie uciąć. Weźmy te podatki. Płać klasyczne, komunalne, rentę, meszne, szkolne, gruntowe, budynkowe, na waryatów i Bóg wie, jak się tam

nazywają. Ady to aż głowa człowiekowi trzeszczy. A pono będą jeszcze większe, bo mają nowe harmoty zaprowadzić i woj-ska ma być więcej. A te okrutnie wielkie okręty na morzu co to pieniędzy pożerają. A czy Afryka moc grosza nie pochłonie? A tu zboże tanie, zarobku nie ma, bo ma-szyny zboże młóca, a zkad tu brać pienią-dze na podatki i na życie?

Grzegórz. Prawdę mówicie, Jędrzeju, nie wiedziałem, że tak ze wszystkim jesteście obeznani.

Jędrzej. Hano, człowiek czyta gazety, zapisałem się też do Kółka rolniczego, cho-dzę na zebrania wyborcze, czytam poży-teczne książki, a więc też człowiek nie taki ciemny jak tabaka w rogu.

Grzegórz. Tem więcej mnie dziwi, że się wybieracie do Ameryki.

Jędrzej. Oj na płacz mi się zbiera, kiedy pomyślę o pożegnaniu ojczystej ziemi, ale »rób co chcesz, głowę susz, ani rusz,« to znaczy, że trudno przeciw wodzie płynąć, a nim słońce wszędzie, rosa oczy wyje. Dzieci dorastają, człowiek nie wie co z nimi począć, a sam też na stare lata chciałbym sobie zapewnić z żoną szczęśliwą dolę.

Grzegórz. Gdyby tylko was istotnie szczęście czekało w Ameryce.

Jędrzej. Toć robić trzeba wszędzie, a ja się do pracy nie lenię. Ziemia tam bardzo tania, podatki małe. Przecież nasi znajomi opisują w listach, jak tam dobrze. Jasiek Komasa donosi, że lepiej tam jada w piątek, aniżeli tu we Wielkanoc. Już

oniby tak nie pisali, żeby źle było. A potem gdzie się jeno człowiek ruszy, każdy namawia. Niedawno żyd, Icek Kurniker, okrutnie mi Amerykę wychwalał, Flaschenberg zaś powiadał, że tam samą pszenicę sieją, a jedno ziarno sto ziarn przynosi, jeżeli zaś kto ma szczęście, znajdzie czasem taką bryłę złota, jak głowa ludzka. Co prawda ta bryła złota najbardziej mi w głowie utkwiała, bo gdybym ją znalazł, jużby się na zawsze moja bieda skończyła.

Grzegórz. Kumotrze, z początku mówiliście bardzo rozsądnie, ale teraz to już chyba mnie, czy sobie oczy zamydlić chcecie. Co do Jaśka Komasy, toć wiecie, że miał ładne gospodarstwo, ale zamiast w roli robić, tłukł się jeno po karczmach, targach, jarmarkach, wszczynał kłótnie, dla tego gospodarstwo stracił. I wierzyć słowom takiego utracyusza? A żyd Kurniker, zwany obrzynaczem, czemu sam do Ameryki nie idzie? On wie dobrze, że, tam nie można oszukiwać, jak u nas. Co zaś do Flaschenberga, przecież wiecie, że każda liszka swój ogon chwali. Wszakżesz on tu w Europie, a z Ameryki żyje, bo jest agentem, pisuje listy, sprowadza »szyfskarty« czyli po naszymu karty okrętowe, czyż więc taki agent będzie ganił Amerykę? Gdyby on do was powiedział: tam zimno, głodno, chłodno, bieda większa niż u nas, czybyście tam chcieli wędrować?

Jędrzej. Co prawda, że nie chciałbym.

Grzegórz. Otóż sami przyznajecie, że prawdę mówię. A co do owych brył złota i stu ziarn pszenicy, wybijcie sobie z głowy

takie głupstwa, bo gdyby to była rzetelna prawda, jużby Flaschenberg mieszkał sobie w Ameryce, otoczony bryłami złota. Słyszał on, że dzwonią, ale nie wie w którym kościele. Złoto kopią w Kalifornii, daleko na zachodzie, dokąd podróż wiele pieniędzy kosztuje. Dawniej w początkach znajdowało się tam złoto w obfitości, ale teraz już się też przebrało. Zresztą dwóch srok nie można za ogon chwytać, albo trzeba pracować albo się zająć wyłącznie kopaniem złota; wy o tem myśleć nie możecie, bo tam lud surowy, nieokrzesany, gwałtowny. Chyba pojedynczy człowiek może tam coś zrobić.

Jędrzej. Kiedy człowiek słyszy waszą mowę, to się odhciewa Ameryki, a jak taki Flaschenberg, albo inny przybłęda zacznie doradzać, wtedy bierze ochota do wędrówki, prawdziwie, że człek jest między młotem a kowadłem.

Grzegórz. Róbcie co chcecie, ale obowiązkiem moim was przestrzedz i doradzić. Mój Boże! iluż to naszych przyszło do nieszczęścia z powodu Ameryki. Młynarz z Łukowa wziął ze sobą 1500 talarów, a co się stało? oto znalazł grób w morzu z pieniędzmi. A przecież znacie polowego Walka ztąd o milę w Bernacicach.

Jędrzej. Toć znam, a cóż Walek z Ameryką ma wspólnego.

Grzegórz. O i bardzo. Sprzedał gospodarstwo za tysiąc talarów, wziął ze sobą żonę i dziecko i pojechał do Ameryki. Tymczasem w Hamburgu żona zwąchała się z jakimś obleciświatem, zabrała tysiąc tala-

rów i karty okrętowe, uciekła do Ameryki, a męża z dzieckiem zostawiła na koszu.

Jędrzej. Bodajście, kiedy żona była taka bezbożna, toby i tu mogła coś podobnego popełnić.

Grzegórz. Zapewne, ale gdybyć uciekła, zostałoby gospodarstwo. A o dwie mile mieszka Antoni Kosmala, który też przyszedł do nędzy, bo w Hamburgu jakiś łazęga ukradł mu wszystkie pieniądze, a on wrócił z powrotem i zgodził się za komornika na pańskie. Dawniej był samodzielnym gospodarzem, a wyrzekał, dziś pracuje bardzo ciężko i chyba tylko w cichości sobie westchnie. Tak, tak, chciał szukać kołacza, a chleb stracił. Ja mówię, że lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku.

Jędrzej. Już wy to umiecie ładnie mówić, aleć mi się równak wydaje, że w Ameryce lepiej, niż tu u nas.

Grzegórz. Przysłowia polskie powiadają, że wszędzie psi boso chodzą, i że wszędzie dobrze, gdzie nas nie masz. Powiedział święty Toma, że wszędzie dobrze, a najlepiej doma. Głęboka prawda w tych przysłowiach zawarta. Przecież ta ziemia, na której żyjemy, to rodzicielka, żywicielka i matka nasza, którą nasi przodkowie krwią i potem użyźnili. Tu się urodziliśmy, tu żyjemy, tu groby naszych ojców, i my kiedyś w niej znajdziemy wieczny odpoczynek. Mówcie, że cisną nas Niemcy i Żydzi. A więc dla tego, że ta matka nasza w biedzie, to my ją opuszczać chcemy, aby tam spieszyć, gdzie ma być trochę więcej chleba i okrasy? Jakiż to syn niewdzięczny i nie-

godziwy, który porzuca kochającą matkę i spieszy w obce kraje, goniąc jakieś widać szczęście! A czyż i wy tak samo sobie nie postępujecie, że dla tego głównie ziemię przodków opuszczacie, ponieważ pozostaje w niedoli? A wiecie wy, kto wasze miejsce zastąpi? Oto niezawodnie Żyd lub obcy, a temu będzie dobrze w waszem gospodarstwie. Tak to nasi zaprzędają obcym kawałkami ziemię, niby Judasz Zbawiciela. I Bóg ma takim zdrajcom błogosławić? O nie! — ciężka kara dotknie tych, którzy zaprzędają cudzoziemcom świętą spuściznę. O! wiem to dobrze, że taki człowiek nie będzie mógł umierać spokojnie w godzinę śmierci, gdyż duchy przodków staną całym szeregiem przed jego łóżem i przeklinać będą wyrodnego syna.

Jędrzej (z płaczem.) Dosyć Grzegorzu, bo mi serce pęknie, słowa wasze ranią mą duszę, niby miecz obosieczny. O tem wszystkim nie myślałem. Widzę, że mówicie świętą prawdę. O! już nie będę słuchał fałszywej mowy Icka i Flaschenberga. Ciężko mi się powodzi, to prawda, aleć nogami i rękami opierać się będę nędzy; teraz mam nadzieję, że mi Bóg nie odmówi błogosławieństwa.

Grzegorz. Szczęśliwy jestem, że moje proste słowa was skruszyły. Kończę moją gawędę pięknym wierszem Bogusławskiego, który w jakiejś książce wyczytałem:

Im srożej los nas nęka,
Tem mężniej stać nam trzeba,
Kto podło przed nim klęka,
Ten niewart względów nieba!

Trafiła kosa na kamień.

Fraszka sceniczna w jednym akcie.

OSOBY:

LUDWIKA, pokojowa pani Tkliwskiej.

TEODOR, służący.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu pani Tkliwskiej.

SCENA I.

(Scena przedstawia pokój ładnie umeblowany.)

Ludwika (sama.) Teraz po odjeździe mojej pani na wieś, jestem samowładną rządczynią w całym domu, nikt a nikt jak Ludwika! Nie ma teraz nikogo, ktoby mi rozkazywał, ach to pięknie! Moja pani odjeżdżając, poleciła mi, ażebym przyjęła do usług jakiegoś Teodora, który był u pana kapitana, wuja mojej pani, i którego on, odjeżdżając, na Ukrainę, zostawił tu w Krakowie... Co to może być za jeden ten pan Teodor? Nie znam ani jego samego, ani jego pana; ta akwizacya jest dla mnie wcale niepomysłną. Powiadała mi moja pani, że ten Teodor z jej wujem wiele podróżował, musi być zapewne światły, dowcipny, kto wie, może i filut!

SCENA II.

Teodor wchodzi po cichu i staje w głębi.

Ludwika. Kto to może wiedzieć! może ten Teodor wkradnie się w łaski mojej pani? Strach! mój urząd pierwszej faworyty straciłby wiele na swojej świetności, a do tego mój wuj, organista z dóbr mojej pani, prosił mnie, ażebym jego syna Bartłomieja mogła wkręcić do naszego domu.

Teodor (na stronie.) Tu widzę o moją skórę chodzi.

Ludwika. Prawda, że i tam tego nie znam, lecz od dzieciństwa usługiwał na wsi, rzecz jasna, że musi być gawronem, mnie takiego właśnie potrzeba. (Zamyśla się.) Muszę koniecznie wysadzić Teodora. Tak! kapitan już wyjechał, a Teodor nie zna ręki mojej pani, piszmy więc dekret dla niego (siada i pisze): »Kochana Ludwiko!«

Teodor (na str.) »Niegodziwa Ludwiko!«

Ludwika (pisząc.) »Lubo wujowi memu przyrzekłam przyjąć jego lokaja, którego zostawił w Krakowie, lecz zreflektowawszy się, osądziłam, że mi wcale niepotrzebny, i że ty, moja kochana Ludwisiu, zupełnie mi wystarczysz, bo jesteś dobrą i cnotliwą.«

Teodor (na str.) Niebożátko złych ma widzę sąsiadów, bo się sama chwali.

Ludwika (pisząc.) »Skoro ten Teodor przyjdzie do ciebie, pokaż mu mój list i powiedz, niech sobie innej służby szuka.«

Teodor (na str.) Wyśmienity projekt, posłuchajmy dalej.

Ludwika (pisze.) »Ściskam cię serdecznie, kochana Ludwisiu.«

Juliana Tkliwska, starościna. (śmiejąc się.) Ha, ha, ha! otóż twój dekret, panie Teodorze.

Teodor (na str.) Otóż twój dekret, panno Ludwiko! (Cofa się i wraca, krzając.) Hm! hm!

Teodor. Jaśnie Wna Pani, ja jestem lokaj, o którym pan kapitan Dziwacki Wnej Pani wspominał.

Ludwika (na str.) Cicho! Bierze mnie za swoją panią (głośno.) Czy to ty jesteś, przyjacielu?

Teodor (kłania się.) Tak, to ja jestem i byłbym szczęśliwy, gdyby Wna Pani Dobrodziejka łaskawa...

Ludwika. Ale przypatrz się tylko dobrze.

Teodor. Jaśnie Wna Pani!

Ludwika (na str.) Nieszpetny mężczyzna (głośno!) Mój przyjacielu! Ja nie jestem starościną, jestem Ludwika, jej garderobianna.

Teodor. Czy podobna? Wna pani żartujesz, ta szlachetna postawa, ten wspaniały ruch!

Ludwika (na str. Ma widzę rozum wspaniały. (głośno) Wierz mi, mój przyjacielu, jestem garderobianną.

Teodor. Nie mogę temu wierzyć.

Ludwika. Przysięgam ci na honor!

Teodor. Na honor garderobianny? No, to już wierzyć muszę. O! jak jestem szczęśliwym, iż będę miał za towarzyszkę tak piękną, tak przyjemną osobą.

Ludwika (na str.) To wcale nie głupi chłopiec, dalibóg! żal mi go (upuszcza list).

Teodor. Pani list upuściła (podnosi i oddaje).

Ludwika. To nic nie szkodzi (rzuca list na stół).

Teodor (z wybuchem). Ha! ha! ha! Już dosyć tych banialuk. Ha! ha! ha! nie prawdaż moja lubciu? Tylem ci naprawił

andronów, duserów, żem ci się zupełnie podobał! Mówmy więc teraz o interesie.

Ludwika. Jakto? tyś mnie nie wziął za moją panią?

Teodor. Uchowaj Boże! musiałbym nie mieć oczów w głowie.

Ludwika. A twoje wszystkie oświadczenia.

Teodor. Były najprawdziwszem kłamstwem.

Ludwika (na str.) Poczwaro!

Teodor. Za pierwszym rzutem oka poznałem, że jesteś nie więcej, jak służąca — a to wszystko, com ci mówił o szlachetnej postawie, o wspaniałym ruchu, było jak już mówiłem, najprawdziwszem kłamstwem.

Ludwika (na str.) A to oszust!

Teodor. Przy pierwszym mojem poznaniu chciałem cię przekonać, że twój przysły kolega, jeżeli nie jest wyższym nad ciebie w dowcipie, kłamstwie i wybiegach, to ci przynajmniej zupełnie będzie równy, a teraz pogodźmy się i na znak zawartego przymierza, uściskajmy się serdecznie.

(Chce ją uściskać).

Ludwika (odpycha go). Zwolna!

Teodor. Albo ja głupi czekać?

Ludwika. Oddal się bezczelny!

Teodor. Czelny, czy bezczelny. Dość, że cię już pokochałem, żenię się z tobą i kwita.

Ludwika. Ja już jestem zaręczona!

Teodor. Z kim takim?

Ludwika. A tobie co do tego?

Teodor. Prawda i to! No, tymczasem, nim pójdziemy do ołtarza, opowiedz mi wszystkie twojej pani zwyczaje, obrządki, nałogi, przywary, zalety, grymasy, chimery, kaprysy, żądania, chęci; słowem, naucz mnie tego wszystkiego, co jest potrzebne, abym wiedział o zasługach, dochodach przypadkowych, złych i dobrych obrywkach, i o tem wszystkim, czego się tutaj spodziewać można.

Ludwika. To wszystko wcale nie jest potrzebne.

Teodor. A to dla czego?

Ludwika. Tu się w tym domu nie dobrego, ani złego spodziewać nie możesz.

Teodor. Na przykład.

Ludwika (daje mu list). Czytaj!

Teodor (na str.) Złapałem cię, filutko. (głośno po przeczytaniu) O mój mocny Boże!

Ludwika. Cóż ci to, paniezu rozkoszny?

Teodor (z żalem): Jestem zgubiony!

Ludwika. Żal mi cię z całego serca.

Teodor. Dla czegoż pani starościna przyjąć mnie nie chce?

Ludwika. Bo to miejsce przyrządzone jest pocziwemu chłopcu.

Teodor (na str.) Pocziwemu gawronowi. (głośno): Jednak ja nie tracę nadziei, mój pan nie wyjechał jeszcze.

Ludwika (przelekniona.) Co? pan kapitan nie wyjechał jeszcze?

Teodor. Jeszcze nie, idę, pokażę mu ten list.

L u d w i k a (na str.) Pozna, że to nie jest pismo mojej pani, zginęłam na wieki.

T e o d o r. Oj! będzie on wrzeszczał! Z nim niebezpiecznie żartować.

L u d w i k a. Słuchajno Teodorku, mnie się zdaje, że nie potrzeba, abyś mu ten list pokazywał.

T e o d o r. Oj, bardzo potrzeba! Bez tego listu żadnym sposobem obejść się nie można, bez tego listu nie uwierzyłby mi wcale, bez tego listu powiedziałby mi: to jest fałsz, oszukaństwo, moja siostrzenica nie umie kłamać, raz danego słowa nie cofa. Nie turbuj się o mnie, moja Ludwisiu, ja tu zaraz powrócę, mój pan niedaleko ztąd mieszka, zobaczysz, pani starościna chcąc nie chcąc, musi mnie przyjąć do służby, bądź spokojna, moja rybko. (Odchodzi.)

SCENA III.

Ludwika sama.

L u d w i k a. Cóż ja najlepszego uczyniłam? już po mnie, na co ja też komponowałam rękę mojej pani? ale któżby się był spodziewał, że ten dziwaczny kapitan Dziwacki jeszcze nie wyjechał. — Domyśli się wszystkiego, gdy mój list zobaczy, ma to być straszny pasjonat! Ach! mój Boże! jak on wpadnie, drzę cała! Jeszczem go nigdy nie widziała, piękne będzie spotkanie! Cóż ja mu powiem? — mojego głupstwa niczem usprawiedliwić nie zdołam! O mój Boże co tu robić? (zamyśla się.) Tak, uciekajmy, aby z pierwszego ognia ochłonał.

Teodor (staje w głębi.)

Ludwika (chce odejść, lecz spostrzega go.) O nieba! to on zapewne! Jakaż mina dzika! wasy jak u suma! dalej w nogi (kryje się do gabinetu na prawo.)

SCENA IV.

Teodor wchodzi w ubiorze kapitana.

Teodor. Ludwika! gdzie ona jest? Gdzie jest ta nie dobrego (na str.) Żeby mnie tylko nie poznała (głośno) Ludwiko! Ludwiko! poczekaj, znajdę ja ciebie, Ludwiko! hej Ludwiko!

Ludwika (wchodzi cała drżąca.) Jestem panie dobrodzieju!

Teodor (ostro.) Jakto, bezczelna, tyś śmiała...

Ludwika. Ah! panie dobrodzieju!

Teodor. Ha! pokornaś to teraz hultajko! wiem, ja wiem, że się jak lis układać umiesz.

Ludwika. Ale...

Teodor (tupiąc nogą.) Milczeć! żadnego ale, ani słowa, ani mrumru! ty mnie nie oszukasz swoją świątobliwością! Któż cię tak nauczył zmyślać rękę swojej pani? a wiesz ty hultajko, czem to pachnie?

Ludwika. Już tego w mojem życiu więcej nie zrobię.

Teodor. Milczeć! co cię przywiodło do odmówienia służby Teodorowi, takiemu słusznemu chłopcu, z krwi prawdziwie czysto lokajskiej, chłopcu z wyrafinowanym dowcipem, chłopcu pełnemu obyczajności, moralności, wielkoduszności, mękości, hę, gadaj! itd.

Ludwika. Nie wiedziałam.

Teodor. Cicho! coś nie wiedziała, że on ma rozum, że jest obyczajny, jakby mu to z oczu wyczytać nie można było.

Ludwika. Jam tego wszystkiego nie widziała.

Teodor. Milczeć mi zaraz! Jako? Nie widziałaś tych wszystkich zalet — toś ślepa.

Ludwika. Bynajmniej! Ja dobrze widzę, lecz on mi się tylko zdawał być...

Teodor (prędko.) Czem takim? Czem?

Ludwika. Oszustem, wierzaj pan, że prawdę mówię.

Teodor. Ciszej mi zaraz! a wiesz ty o tem, że ty go krzywdzisz, ta otwartość na złe ci wyjdzie, on ci nigdy tego nie daruje, ten chłopiec kocha swój honor nad życie.

Ludwika. Powiadają, że jego honor nie jest tak bardzo uciążliwym.

Teodor. Choćby i tak było, toś ty nie miała prawa odprawiać go bez wiedzy twojej pani.

Ludwika. Ja wiem, żem zgrzeszyła.

Teodor. Jako wuj i opiekun twojej pani mam prawo w jej nieobecności zarządzać jej domem, zatem dla ukarania cię za twoje oszukaństwa wypędzam cię natychmiast ze służby.

Ludwika. Ach, panie dobrodzieju!

Teodor. Nie, nic nie pomoże, musisz być ukarana, najprzód za to, iż przysłanego przezemnie Teodora chciałaś wypędzić i mnie przez to skrzywdzić, powtóre, żeś śmiała

zmyślać rękę twojej pani; po trzecie, nie ma już dla ciebie protekcyi.

Ludwika. Zmiłuj się pan dobrodziej.

Teodor. Żadnego pardonu.

Ludwika. Cóż ja pocznę?

Teodor. Dalej wynoś się, fora ze dwora!

Ludwika. Zaklinam pana dobrodzieja na kolanach (klęka.)

Teodor. Nie daruję.

Ludwika. Wysłuchaj mnie pan.

Teodor. Głuchy jestem.

Ludwika. Oto się u nóg czołgam.

Teodor. Precz!

Ludwika (zrywając się.) To już za wiele.

Teodor. Toś ty jeszcze nie poszła?

Ludwika. Ja pójdę, ale przysięgam, że Teodor będzie wypędzony.

Teodor. Jeszcze mruczysz?

Ludwika. Piekło i niebo poruszę. (odchodzi w prawo.)

Teodor. Żywo wynoś się i zabieraj swoje manatki!

SCENA V.

Teodor sam.

Teodor. Ha, ha, ha! Trafiała kosa na kamień. Ona mnie chciała przez próg przesadzić. Rozbierzmy się z ubioru mojego pana. Ona niezadługo wyjdzie, będzie rozumiała, że mnie pan Kajetan instalował na jej miejsce, wybieg za wybieg — otóż i ona! (rzuca suknie do gabinetu i idzie do drzwi środkowych.)

Ludwika (wchodzi.)

SCENA VI.

Ludwika i Teodor.

Teodor (mówiąc niby do pana.) Dziękuję panu Dobr. za jego względy! Co pan mówi, żeby ją wypędzić? Dobrze, dobrze, zdaj się pan tylko na mnie, już ją tu zaraz wytransportuję.

Ludwika. Ty hultaju!

Teodor. Ah, nieboga, cóżeś ty najgorszego zrobiła? Czemuś mi o tem zaraz nie powiedziała.

Ludwika. Ty nie dobrego, twoja to sprawka, tyś to namówił twojego pana.

Teodor. Czy ty nawet możesz o tem myśleć?

Ludwika. Czy już poszedł ten okrutnik?

Teodor. Poszedł.

Ludwika. Nie powróci?

Teodor. Nie.

Ludwika. Więc ty tutaj zostaniesz?

Teodor. Tak jest, za twojem pozwoleniem.

Ludwika. Życzę ci szczęścia! Oj! nie znasz ty mojej pani.

Teodor. To nic nie szkodzi, wkrótce się poznamy.

Ludwika. To jest elegantka, grymaśnica, co chwilę łaje i bije...

Teodor. Niech cię o to głowa nie boli.

Ludwika. Czekaj, przyjdzie i na ciebie kolej i to wkrótce.

Teodor. Niestety, to jest losem powszednim, co dziś w górze, jutro na dole.

Ludwika (na str.) Ha! co za wyborna myśl! poczekaj! nie spodziewasz się, co cię spotka (odchodzi.)

SCENA VII.

Teodor sam.

Nieboga, żal mi jej doprawdy, ale ta lekcyja była dla niej potrzebną! Gdy ją z wygnania przywołam, pozna wtenczas, jak daleko nad nią wyższym jestem i będzie mnie umiała szanować, będę sobie, jak wszędzie bywałem, totumfackim. Ale cicho! zdaje mi się, że ktoś idzie! (słucha) to zapewne Ludwika wraca mnie prosić o miłosierdzie, ale nie z tego! Ażeby się jej zbyć, ubiorę się w mundur kapitański swojego pana (odchodzi na lewo.)

SCENA VIII.

Ludwika ubrana za panią, woalem czarnym nakryta, mówi tonem grymaśnym.

Ludwika. Hej, Ludwiko! to życie wiejskie niemiłosiernie mi się znudziło! fi! co to za nudy! Ludwiko! (n. str.) Nie widać go! ale którądy wyszedł. (głośno) Ludwiko!

Teodor (wchodzi w mundurze.) O nieba! to niechybnie pani starościna.

Ludwika (sposstrzega go drżąca.) Ach! tu wuj mojej pani. (spogląda na niego.)

Teodor (n. str.) Przypatruje mi się (patrzy na nią.)

Ludwika. Jak mię oczyma mierzy.

Teodor. Już po mnie.

Ludwika. Zginęłam.

Teodor. Już poznała mnie.

Ludwika. On mnie zamorduje!

Teodor. Ale dla czego mi nic nie mówi.

Ludwika. On mnie nie zaczepia!

Teodor. Czeka mojego wyznania.

Ludwika. Czeka, aż ja przemówię.

Teodor. Zacznijmy akt pokuty.

Ludwika. Udajmy się do pokory
(zbliża się.)

Teodor (zbliżając się.) Konceptu mi nie staje.

Ludwika. Zemdleję (postępując wolno.)

Teodor (trzęsąc się.) Zbliża się do mnie (postępując ku niej.)

Ludwika. Już idzie.

Teodor. Uprzedźmy ją.

Ludwika. Zacznijmy wyznanie (oboje chcą klękać.)

Teodor. Pa... pa... pani.

Ludwika (na str.) Co widzę?

Teodor (zdejmując czapkę.) Ja... ja... jestem.

Ludwika (zdziwiona.) Teodor?

Teodor (bełkocąc.) Tete... te... te... odor.

Ludwika (na str.) A oszust! zapłaćmy mu teraz wet za wet!

Teodor. Biedny Teodorek!

Ludwika (na str.) Nie wiem jak zacząć?

Teodor. JWna Pani jam się dla tego przebrał, bo służąca pani, Ludwika, ta filutka, gwałtem mnie chciała wypędzić.

Ludwika (na str.) O! hultaj, jak mnie oszukał.

Teodor. Daruj mi pani ten podstęp, chciałem sobie przez to służbę zapewnić.

Ludwika (groźno.) Wstań nikiemny.

Teodor (wstając.) Pani mi przebaczasz?

Ludwika. Milcz! idź precz! czekaj, biegaj! zawołaj Ludwika!

Teodor. Ja pani... Ludwika (na str.) Co jej powiedzieć?

Ludwika. Idź, mówię, zawołaj mi Ludwika.

Teodor. Ach, pani, muszę wyznać prawdę, jam ją...

Ludwika. Co! gdzie jest Ludwika!

Teodor. Jam ją odprawił!

Ludwika. Jakto? ty śmiałeś odprawić Ludwikę, moją najukochańszą, najuczciwszą Ludwikę, która nie służącą, ale przyjaciółką moją była.

Teodor. Pani! Ja jej nie poznałem.

Ludwika. Jakto? nie poznałeś?

Teodor. Jam w niej tych wszystkich cnót wcale nie upatrywał.

Ludwika. Cóż to hultaju? czy ty rozumiesz, że ja nie umiem sądzić o ludziach.

Teodor. Boże uchroni! Jam tylko chciał przedstawić w największej pokorze, że ta filutka tak zręcznie ułożyć się umie, jak kotek.

Ludwika. Co? hultaju, śmiesz w mojej przytomności hańbić najlepszą moją przyjaciółkę.

Teodor. Pani dobrodziejko! ja się omyliłem, panna Ludwika jest zbiorem wszystkich cnót.

Ludwika. Tak, to dobrze, idź teraz zdjąć ten ubiór, tak nieodpowiedni twojemu stanowi.

Teodor. Natychmiast pani dobrodziejko (idzie na lewo.)

Ludwika. Złapałam cię, oszuście! Poczekaj! zbrzydzę ja tobie tę służbę, dla której chciałeś mnie wypędzić, teraz sam będziesz z niej uciekał.

Teodor (wraca w liberyi.) Jestem już, pani dobrodziejko.

Ludwika. Więc to ciebie na polecenie wuja mego mam przyjąć za lokaja? Czy ci wiadome okoliczności wszystkie, dotyczące tej służby?

Teodor. Nic a nic pani dobrodziejko.

Ludwika. U mnie służba bardzo dobra.

Teodor. Tem lepiej dla mnie!

Ludwika. Ale trzeba być pilnym! Dzień i noc siedzieć w przedpokoju, przybiegać natychmiast, choćby o północy, kiedy tylko zadzwonię, — Dwadzieścia biletów roznieść w jednej godzinie, biegać po mieście choćby deszcz lał i pioruny biły. Być razem lokajem, stangretem, kamerdynerem, szwajcarem, kuchmistrem, laufrem, pocztylionem, słowem tem wszystkiem, co ja będę chciała, pracować nieustannie, nie spać choćby w nocy, chyba ukradkiem, jeść mało, nie upijać się nigdy.

Teodor. Bardzo dobrze pani dobrodziejko!

L u d w i k a (na str.) Trudno go będzie odstraszyć. (Głośno): Jeszcze mam ci wiele do powiedzenia. Lubo jestem z natury dobra i cierpliwa, jednakowoż gniewam się zaraz, łaję, a jeszcze częściej biję.

T e o d o r. Ze mnie pani zapewne będzie zadowolona.

L u d w i k a (na str.) Jakoś widzę odważny. (Głośno): Dobrze, więc kiedy na wszystko przystajesz, przyjmuję cię do służby za lokaja. Zaczynaj natychmiast służbę. Przynieś mi kawy. Czeka! idź, polewaj kwiaty! Czeka! uprzątnij w sali! idź koniom dać obroku.

T e o d o r. Biegnę!

L u d w i k a. Czeka! Mój stangret chory, zawieziesz mnie do miasta na obiad, będziesz mi służył do stołu, tego wieczora jadę na wieś, będziesz mi na wsi obiad gotował. Jutro rano pošlę cię kuryerem 12 mil od Krakowa do mojej ciotki. Trzeba żebyś jeszcze przed południem wrócił i obiad mi zgotował.

T e o d o r. Bardzo dobrze pani dobrodziejko (na str.) Ciasno tu na mnie, bardzo ciasno (odchodzi).

L u d w i k a. Czeka! najprzód biegaj mi do pani kasztelanowej Modnickiej, także do pani szambelanowej Umizgalskiej — spytaj się pierwszej, czy jej piesek zdrowy. Drugiej, czy jej papuga dobrze spała. Czeka! wstap do sklepu, kupisz ryżu, wódki pachnącej, dwie pary rękawiczek, wachlarz haftowany i lornetkę. Biegaj! wracaj za kwadrans, a żywo — ale.

T e o d o r. Dobrze pani, ale...

Ludwika. Cóż? ale? ja nie lubię żadnego ale, — biegnij! czekaj! przynieś mi czekolady.

Teodor. Zaraz pani!

Ludwika. Czekaj! źle mi jest — przynieś mi wódki kolońskiej z mojej toalety.

Teodor. Natychmiast.

Ludwika (krzycząc). Teodor!

Teodor. Słucham!

Ludwika. Czekaj! bądź przy mnie, boję się, żebym nie zemdląła.

Teodor (na str.) A bodajżeś umarła.

Ludwika (krzycząc). Teodor.

Teodor. Jestem pani!

Ludwika (rzuca się w krzesło). Umieram!

Teodor. No, Bogu dzięki! ale cóż ja tu z nią będę robił? sam ledwie na nogach stoję! Hej! Pani! Dobrodziejko! (trzęsąc jej rękę).

Ludwika. Hultaju, rękę mi złamiesz, biegaj mi po lekarza, czekaj! idź! czekaj!

Teodor (zmęczony). Słu... słu... cham.

Ludwika. Nerwy się we mnie kurczą.

Teodor. Cóż ja mam robić z temi nerwowemi kurczętami?

Ludwika. Po lekarza mówiłam.

Teodor. Biegnę!

Ludwika. Czekaj!

Teodor. Czekam!

Ludwika. Czemuż nie idziesz?

Teodor. Idę!

Ludwika. Czekaj! idź — czekaj.

Teodor (siada). Już się z miejsca nie ruszę! oj! oj! moje nogi.

Ludwika. Cóż ci mój wuj odjeżdżając, kazał powiedzieć?

Teodor. Ka... ka—zał pani powiedzieć...

Ludwika. Mówże prędzej!

Teodor. Pan kapitan — nie mogę ani słowa wymówić...

Ludwika. Gadajże! mówię... albo...

Teodor. Za... zadyszałem się.

Ludwika. Co ty tam mruczysz? he?

Teodor (głośno): Nic, a nic (na str): o! co tego to zanadto, niech ją piorun trzaśnie z jej służbą.

Ludwika (na str.) Przeciem mu dokuczyła. (głośno): No, i cóż kapitan?

Teodor. Mój Pan?

Ludwika. Skończysz ty dzisiaj?

Teodor. Odjeżdżając, kazał pani dzień dobry powiedzieć!

Ludwika. Co? ty łotrze, żarty sobie ze mnie stroisz? idź mi precz!

Teodor. Ach, z całej duszy pani dobrodziejko!

Ludwika. Czeka! rozumiałby kto, że u mnie służba jest przykrą, u mnie, która jestem tak dobrą panią.

Teodor. Tysiąc rozkazów w jednej minucie, to za wiele pani dobrodziejko!

Ludwika. A choćby i milion, kiedy mi się tak podoba, twoim obowiązkiem jest wypełnić je bez szemrania! Za to ci płacę, i za to cię żywię!

Teodor. Nie, pani dobrodziejko, my się nie zgodzimy, ja jestem flegmatyk i wszystko zwolna robię — pani dobrodziejka jest żywa, niecierpliwa!

Ludwika. Kto? ja niecierpliwa? (uderza go w twarz.) Oto masz za twoje zuchwalstwo.

Teodor. Uniżony sługa, dziękuję pani za służbę i za zapłatę.

Ludwika. Czekaj ani kroku, ja chcę, żebyś tu został.

Teodor (na str.) Czy mnie tu djabli wnieśli! bodaj ten pan kapitan kark skreślił. (głośno) Bądź pani łaskawa zwolnić mnie ze swojej służby. Pani jesteś zanadto dobra, mógłbym się popsuć u niej.

Ludwika. Idź, więc do kaduka! wynieś się a prędko.

Teodor (n. str.) Chwała Bogu. (głośno) Natychmiast! (odchodzi na lewo.)

Ludwika. Po co tam idziesz!

Teodor. Chcę zabrać mój ubiór kapitański. (na str.) U takiej sekutnicy nie służyłbym za miliony. (odchodzi.)

SCENA IX.

Ludwika (sama rozbiera się.) Ha! ha! ha! umrę ze śmiechu. Panie Teodor, ode mnie musisz brać lekcję filuteryi. Grajmy tę samą rolę co on grał ze mną, niech widzi mój powrót tryumfalny. (rzuci suknie do gabinetu). Otóż i on! moje pięć palcy znać mu jeszcze na twarzy.

SCENA X.

Teodor (wchodząc.) Upadam do nóg pani, dziękuję za służbę i za zapłatę, a to ty Ludwiko, jużś wróciła?

Ludwika. Dowiedziałam się, iż pan kapitan od dwóch godzin wyjechał, domyśliłam się twojej sprawy i wróciłam.

Teodor. Ja właśnie chciałem cię szukać!

L u d w i k a. Doprawdy?

T e o d o r. Twoja pani jest sekutnicą, rodem z piekła.

L u d w i k a. Dopierom się z nią widziała.

T e o d o r. Tyś się z nią widziała.

L u d w i k a. Strasznie na ciebie zagniiewana.

T e o d o r. Nie dbam już o jej gniew, bo ztąd odchodzę, biada temu, kto tu będzie na mojem miejscu. Twoja pani bardzo rezolutna. (widząc śmiech Ludwiki, na str.) Zaczynam mieć podejrzenie.

L u d w i k a (śmieje się.) Więc chcesz innej służby szukać?

T e o d o r. A jużci, kiedy mnie twoja pani wypędza.

L u d w i k a. Rozstańmy się bez gniewu przynajmniej. Ja wiem, dla czego ci odradzałam przyjmować służbę u mojej pani... O! znam ja ją bardzo dobrze.

T e o d o r. O! prawda, pocziwa z ciebie dziewczyna.

L u d w i k a. Czy chcesz się jeszcze ze mną żenić?

T e o d o r. Koniecznie! pomimo tego, że jesteś innemu zaręczona.

L u d w i k a. Pomyślmy o tem. Do widzenia panie Teodor. (śmieje się.)

T e o d o r. Po cóż ten uśmiech szyderczy.

L u d w i k a (szyderczo.) Adieu, biedny Teodorku.

T e o d o r. Ty się ze mnie naśmiewasz?

Ludwika. Szukaj gdzieindziej lepszey służby, gdzieby twoje zdrowie lepiej szanowano.

Teodor (na str.) Jestem oszukany, uważajmy na nią.

Ludwika. Czego się ociągasz?

Teodor. Muszę się pierwwej z twoją panią pożegnać.

Ludwika. Obejdzie się wcale bez tego.

Teodor. Byłoby to niegrzecznie, gdzie jest pani?

Ludwika. Pani nie kazała nikogo do siebie wpuszczać.

Teodor. Czy tu w tym gabinecie jest?

Ludwika. Tak, tutaj!

Teodor. Muszę iść do niej koniecznie.

Ludwika. Boże uchwaj.

Teodor. Ale czemu.

Ludwika. Ona się na ciebie gniewa, gdyby cię zobaczyła, dostałaby migreny!

Teodor. Migreny! Bądź więc zdrowa, idę już, lecz bądź pewna, że pomimo tego niepomyślnego wypadku muszę się z tobą koniecznie ożenić.

Ludwika. Dobrze, dobrze! cóż ty tam masz pod pachą?

Teodor. Pana kapitana (odchodzi).

SCENA XI.

Ludwika (sama.) Oto masz figiel za figiel! żal mi go doprawdy, ale dobrze mu tak! wet za wet! Więc teraz znowu jestem faworytą i nie boję się nikogo! prawda, że

mnie to wiele pracy kosztowało. Teodor będzie od tego domu, jak od zapowietrzonego, uciekał. Jednakże to paradna rzecz rozkazywać. Jak Bartłomiej przyjęty zostanie, musi mi jak pani usługiwać (słysząc Teodora, śpiewającego za sceną.) Cóż to za głosik dyszkantowy? To Bartłomiej zapewne.

SCENA XII.

Teodor (wchodzi jak chłop.) A czy to panna jesteś panna Ludwika?

Ludwika. Tak, ja jestem, lecz któż ty jesteś?

Teodor. Hm! ja nie jestem ty, ale pan Bartłomiej, syn pana worganisty, wuja aspanny.

Ludwika. Ale cóż to za niezgrabna facyata.

Teodor. Wejcie no, jak tu ślicznie (rozgląda się).

Ludwika. Gawron i straszny gawron! Czy ci się tutaj podoba?

Teodor. Ha! ha! ha! ogniście! ha! ha! ha!

Ludwika. Z czego się tak ustawicznie śmiejesz?

Teodor. Aspanna tak jesteś śliczna, tak piękna! że co się spożrę na aspannę, to się śmiać muszę, ha! ha! ha!

Ludwika. Skończysz ty już te chichoty?

Teodor. A gdzie aspanna mieszka?

Ludwika. Tutaj!

Teodor. Tutaj? w takim pięknym pałacu? tak pięknie ubrana? ha! ha! ha!

Ktoby to powiedział, żeś waćpanna przed dwoma laty było pasała.

Ludwika. Tylko mi to jeszcze raz wspomnij gapiu, a zaraz cię...

Teodor. No, no, no, nie powiem nikomu, żeś waćpanna było pasała, ha! ha! ha!

Ludwika. Czy ci się doprawdy mój ubiór podoba?

Teodor. A jużci, że mi się podoba, a co to za śliczna szmata, jakie piękne faworki, jaka śliczna zapaska! Nasza pani, kiedy do kościoła idzie, to się tak nie ubiera. Ej, trzeba na to dużo ogniście pieniędzy, a to nie na służebną.

Ludwika. Zamiast gadać głupstwa, lepiejbyś zrobił, dziękując mi za służbę, którą ci wyrobiłam.

Teodor. Bóg zapłać! Jużci ja za to aspannie przecie się wywdzięczę.

Ludwika. Głupiec! właśnie takiego mi potrzeba. Mój kochany, najprzód trzeba cię nauczyć, jak ty tu stoisz.

Teodor. Jak ja stoję? ha! ha! ha! na nogach, na obydwóch nogach.

Ludwika. Cicho, ośle! będziesz tutaj lokajem, będziesz brał 2 dukaty na miesiąc.

Teodor. Wejcie, jeno dwa dukaty? to niby sześć talarów. Oho! ba i bardzo! mnie mówili, że tu będę brał 3 dukaty czyli 9 talarów.

Ludwika. Trzy dukaty, co to ma znaczyć? Ja będę brała jednego dukata dla siebie za to, że ci służbę wyrobiła.

Teodor. Ej! ja nie chcę takiej cygańskiej łaski!

Ludwika. To idź precz!

Teodor. Ba! jeszcze czego! no, dom aspannie dwa czeskie na miesiąc.

Ludwika. Ty rozumiesz, że ja za darmo od ciebie żądam tego dukata, ja cię za niego będę uczyć służby, a potem z mej łaski możesz na miesiąc dziesięć razy tyle zyskać.

Teodor. Dobrze i tak, ale ja z myta nie dam więcej, jak dwa czeskie.

Ludwika. Ty mi się sprzeciwiasz?

Teodor. Słuchajno, aspanna, te zyski, co aspanna powiedziała, czy tylko będą bez grzechu?

Ludwika. Ja grzech wezmę na siebie.

Teodor. Ej! mościa panno, masz aspanna dosyć odpowiadać za swoje.

Ludwika. Straszniem się pomyliła na tym gawronie. Ty wszystko musisz robić, co ci każe, rozumiesz?

Teodor. Ba i bardzo! ja będę robił to, co pani mi każe i co pocziwość pozwala.

Ludwika. Prostaku! ty tu umrzesz z głodu. Nasza pani bogata, nie to u niej nie szkodzi, choćby ją czasem skubnąć.

Teodor. Słuchaj, aspanno! Takich rzeczy mi nie gadaj. Ja byłem u naszego dziedzica włódarkiem; nasz arendarz mnie namawiał, żebym pana w omłocie oszukał o dwa korce żyta. Kiej mi to powiedział, to jakem żyda palnął w pysk, aż nogami się nakrył, ot tak...

Ludwika. Muszę się go pozbyć! ty zupełnie głupi jesteś, ty się tutaj nie zdasz.

Teodor. Już czy ja się tu zdom, czy nie zdom, mniejsza o to, ja tu usiądę i będę czekał na panią (siada.)

Ludwika. Zginęłam! Ale to ode mnie zależy.

Teodor. Zobaczymy! ode mnie też będzie zależało, aby powiedzieć, żeś aspana mnie namawiała, aby panią oszukać! ha! ha! ha!

Ludwika. I tybyś śmiał?

Teodor. Ja na nic nie uważam, ja gotów pójść do pani i powiedzieć: Mościa Pani Dobrodziejko, ta szmata za pani pieniądze (wskazuje na suknię.)

Ludwika. Ty zuchwalcze!

Teodor. Mościa pani Dobrodziejko, takich faworków służebna z pocziwością nosić nie może.

Ludwika. A ty hultaju (na str.)! Co tu robić z tym prostakiem!

Teodor. Trafiłem! (głośno). Mościa Pani Dobrodziejko, ta spódnica jest z podszewki pańskiego rubrona, ha! ha! ha!

Ludwika. No, namyśliłam się, że ty tutaj żadnym sposobem zostać nie możesz, wracaj więc do domu i pozdrów wszystkich ode mnie.

Teodor. Ani myślę, odpocznę sobie, dopóki pani nie przyjdzie.

Ludwika. Jeżeli ztąd nie pójdziesz precz, to pójdę po policyanta.

Teodor. Ba i bardzo, po policyanta to ja pójdę, ale jak pani powróci, to i my powrócimy.

Ludwika. A! już po mnie, już się nie wykreće, on wszystko powie, będę

odprawiona. Ach! pocóżem Teodora wypędziła?

Teodor. Ubierz mnie panna w liberyą.

Ludwika. Ja mam ciebie ubierać w liberyą? Ten mazgaj ma być przyjęty za kamerdynera, który, że ledwie wart być stróżem.

Teodor (śpiewa.)
 Czemużeś się nie ożenił
 Bajtała, Bajtała,
 Kiedy ci matusia ze swą córką
 Krowę dawała.
 Czemużeś się nie ożenił
 Bartosu, Bartosu,
 Kiedy była kworta piwa
 Po grosu, po grosu.

Ludwika. O nieba! cóżem ja uczyniła! czemuż chciałam odmienić wolę mojej pani! O! gdybym Teodorka ujrzała, a tego gawrona żeby lichu porwało.

Teodor. (zrzuca ubiór.) Tak mówisz, niech go wezmą kaci, mówiłaś: o! gdyby Teodor wrócił! otóż jestem.

Ludwika. Co widzę, Teodor?

Teodor (klęka.) Jakże, czy mianowanie na lokaja nie znajdzie już trudności u panny Ludwiki?

Ludwika (podając mu rękę.) Mianuję cię lokajem pani starościны Tkliwskiej.

Teodor (wstając.) Wiwat! od tej chwili kończy się wojna między nami. Chciałaś mnie wygnać, abyś sama domem rządziła, otóż, chociaż tu będę, rób, jak ci się podobać będzie, rządz, rozrządzaj — ażebyś

zaś zupełnego prawa nabyła do wodzenia mnie za nos, przyjmij mnie za męża, jeżeli przyrzeczenie być grzecznym i szanującym cię mężem znaczy co u panny Ludwika, tedy rzeknij słowo a...

L u d w i k a. Cóż, będziesz grzecznym? będziesz mnie szanował (podaje mu rękę)? Oto ja twoja, a ty mój!

T e o d o r. Wiwat! zgoda! kiedy się dwóch filutów żeni, to wszystkich pocztowych kieszenie drzeć powinny.

Wschód słońca.

Drobnostka dramatyczna dla teatrów amatorskich.

przez Jerzego Belly.

O s o b y :

Stanisław. Matylda, jego żona. Elżbieta, służąca w oberży.

Rzecz dzieje się w górach śląskich w domu zajezdnym.

Scena przedstawia pokój gościnny. Noc.

SCENA I.

Elżbieta, Stanisław, Matylda.

Elżbieta (wprowadza Stanisława i Matyldę, niosąc dwie świece zapalone.) Tak, niech się państwo rozgoszczą... Całogodzinna droga na mułach to niezawodnie doskonale umęczy, szczególnie w nocy, kiedy niepodobna dobrze rozróżnić, czy na prawo, czy na lewo można zlecieć do przepaści!... Ale za to tutaj, z naszej oberży zobaczycie państwo taki śliczny wschód

słońca, jaki nigdzie nie bywa... Anglicy przyjeżdżają tutaj umyślnie, żeby to oglądać...

Stanisław. Dobrze, już dobrze...

Elżbieta. Już kto potrzebuje wschodu słońca, to nigdzie piękniejszego nie znajdzie... Cztery, czy pięć dni temu był tu pewien podróżny... przynajmniej hrabia, albo może i co lepszego... onby dopiero powiedział państwu, jaki tu śliczny widok!

Stanisław. Zdaje się, że za kwadrans ujrzymy go sami bez opowiadania tego dostojnego podróżnego.

Elżbieta. Tylko niech państwo zwracają uwagę na dwie największe skały; jedna nazywa się Krzywa Magdusia, a druga Łysy Kasperek... Otóż gdy słońce wschodzi...

Matylda (przerywa): Ale dość już, dość... będziemy przecież widzieli twoją Magdusię i Kasperka!

Elżbieta (odchodząc, n. s.) Co mi za jacyś państwo, niby podróżują, a o najciekawszych rzeczach w okolicy nie słuchać nie chcą. (Wychodzi.)

SCENA II.

Stanisław, Matylda.

Siadają na przeciwnych stronach stołu. Chwila milczenia.)

Stanisław. Jesteś zmęczoną?

Matylda (obojętnie.) O nie!

Stanisław. Bylibyśmy może lepiej zrobili, gdybyśmy byli zaniechali tej męczącej nocnej wycieczki.

Matylda. Życzenia twoje są dla mnie rozkazem.

Stanisław (urazony.) Moje życzenia! moje życzenia! Wszakże jeszcze gdyśmy się wybierali w podróż, którą odbywamy, mówiłaś mi, że pragnęłabyś widzieć wschód słońca, w całej jego majestatyczności, w górach, sam na sam ze mną, zdala od sztywnych Anglików i papuziego paplania przewodników. To też dla ciebie tylko zgodziłem się porzucić nocleg wygodny i drapać się po urwiskach aż tutaj, gdzie pomimo gadania służącej o Anglikach, wiedziałem, że nie będzie żywej duszy oprócz nas. Dla ciebie, tylko dla ciebie...

Matylda (zimno). Mój Boże! mogłeś tego nie robić... byłabym uwolnioną przynajmniej od wymówki, że dla mnie takie poświęcenie zrobiłeś.

Stanisław. Matyldo! Już od dwóch tygodni jesteśmy w górach i wciąż mnie dręczysz obojętnością, oziębłością, niechęcią, której przyczynę próżno staram się odgadnąć.

Matylda. Wiesz, że z natury nie jestem skłonna do zachwywania się niczem.

Stanisław. Mówiłaś zawsze, że pragniesz odetchnąć powietrzem gór i wzrok nasycić widokiem cudów przyrody, otóż przebywamy okolice najpiękniejsze, jakie wyobraźnia wymarzyć może, a ty rzucasz zaledwie okiem na nie, jakby na trzyłokciową kupę piasku, albo na zagony ziemniaków. Doprawdy pojąć nie mogę tego i czuję, że już na wpół zwaryowałem!

Matylda (złośliwie). Zatem w interesie drugiej twojej połowy powinniśmy wracać natychmiast.

Stanisław (z gniewem). Matyldo!..

SCENA III.

Ciż sami, Elżbieta.

Elżbieta (wchodząc). Może państwo przyjdą na pierwsze piętro... z góry lepiej będzie widać... obłoki już gdzieś niegdzie różowieją...

Stanisław (niecierpliwie). Dobrze, dobrze, przyjdziemy tam.

Elżbieta. Niewiele czasu jest do stracenia. (Wychodzi).

SCENA IV.

Stanisław, Matylda.

Stanisław. Zaklinam cię, Matyldo, nie dręcz mnie dłużej. Powiedz mi, co ci jest, o co ci chodzi?

Matylda. Sam nie wierzysz w to co mówisz... o cóżby mi iść mogło przy takim mężu, jakim ty jesteś... Gdybym się skarżyła na co, czyżbyś sam nie wzruszył ramionami z zadziwienia, że śmiem ci coś zarzucać.

Stanisław (żywiej). Matyldo, nie zniosę takiego tonu. Nadużywasz mej cierpliwości.

Matylda (wstaje). Groźby?... o! byłam na nie przygotowana, dziwię się nawet, że dopiero teraz spadła ci maska.

Stanisław. Matyldo... widzisz, że się wysilałam, ażeby panować nad sobą, ale nie

żądaj odemnie rzeczy nadludzkich... Błagam cię jeszcze raz, powiedz mi, o co się gniewasz na mnie.

Matylda (z tłumionym gniewem). Odpowiem ci twemi własnymi wyrazami: widzisz, jak się wysiłam, ażeby być spokojną, że staram się panować nad sobą, ale nadludzkich rzeczy nie wymagaj odemnie... (Wybuchając). Obludniku, którego nienawidzę.

Stanisław (w uniesieniu). Matyldo!

Matylda (mówi dalej)... którym pogardzam!...

SCENA V.

Ciż sami, Elżbieta.

Elżbieta (wchodzi.) Krzywej Magdusi już się zaczerwieniła czupryna, a Łysy Kasperek...

Stanisław. Dobrze, dobrze, zostaw nas samych!

Elżbieta. Państwo się spóźnią, a to jest takie piękne, że aż strach. (N. s.) Musieli się na księżyc dobrze napatrzeć i teraz słońca nie ciekawi. (Wychodzi.)

SCENA VI.

Stanisław, Matylda.

Stanisław. Na te słowa, które powiedziałaś, mam tylko jedną odpowiedź. Nie myślę zatrzymywać pod swem jarzmem kobiety, która mną pogardza.

Matylda. A zatem już i rozwód pan przewidziałeś! O, przystaję, przystaję z całej duszy... zmuszanie się do pańskiej obecności zabijało mnie...

Stanisław. Możesz pani dziś jeszcze odjechać do rodziców, ja pojedę jutro... adwokat ułoży resztę...

Matylda. Nie będzie mu to trudno, z mojej strony nie napotka żadnej przeszkody.

Stanisław. I ja także będę się starał ułatwić mu pod każdym względem....

Matylda. Tym sposobem jesteśmy w zgodzie.

Stanisław. W zgodzie! A kiedy jesteśmy skazani zabawić tu jeszcze razem, dopóki dzień nie zawita, możemy więc rozmawiać z sobą jak podróżni, których przypadek sprowadził do jednego pokoju, w jednej oberży. Opowiadajmy sobie historyjki. Jabym pani opowiedział powiastkę o pewnej angielskiej kobiecie, która będąc całą duszą przywiązaną do swego męża, w mgnieniu oka zaczęła nim pogardzać.

Matylda. A ja o pewnym godnym małżonku i jego jeszcze godniejszym przyjacielu.

Stanisław. Ciekawy jestem.

Matylda (siada naprzeciw Stanisława). Temu potwo... temu ideałowi było na imię Stanisław. Poznał on na pewnym koncercie...

Stanisław. Na którym wykonywano sonatę Beethovena....

Matylda. Proszę mi nie przerywać. Poznał pewną młodą osobę, zamienił z nią kilka wyrazów, przypadek chciał, że ją potem spotkał powtórnie....

Stanisław. W kasynie miejskiem.

Matylda. Tak jest, w kasynie.... Romans który opowiadam, był niezawodnie

drukowany i miał zapewne wielu czytelników.

Stanisław (żywo). Nastąpiłem ci na suknię, ale nie byłem temu winien. To ten niezdolny referendaryusz.

Matylda (przerywa). Opuśćmy zbyteczne dodatki i idźmy dalej.... Obyczajem powieściopisarzy pomijam kilka miesięcy. Wprowadzam czytelnika do wili, otoczonej prześlicznym parkiem. Zastajemy tam małżeństwo, które sobie przed chwilą dozogonną miłość przysięgało. Przed panem małżonkiem leżą książki i mapy.

Stanisław. Był to »Ilustrowany przewodnik naszego kochanego Eljasza o Tatrach« i książka o górach alpejskich w Szwajcaryi.

Matylda. Marzenia młodej żony miały być nareszcie spełnione, miała ujrzeć te piękne okolice, do których, czytając ich opisy, wzdychała;... ale na cztery dni przed oznaczonym terminem wyjazdu zaszło coś okropnego, coś, co wzburzyło cały gmach jej nadziei. Młoda owa osoba nie należała do tych, które śledzą i podpatrują tajemnice swych mężów, zbyt dumną była na to... mimowolnie jednak stała się świadkiem rozmowy, którą jej mąż, przypuszczając zapewne, że ona jest w parku, prowadził prawie na głos z pewnym nieznajomym, wyszedłszy z nim ze swej kancelaryi na korytarz.

Stanisław. (Zdziwiony). Korytarz... rozmowa... nieznajomy...

Matylda. Tak, są to zwykłe okoliczności, towarzyszące tajemnicy. Twarz te-

go nieznajomego, ubranego w żółty hawelok i wysoki kapelusz, zapamiętała zresztą młoda małżonka tak dobrze, że poznała go w cztery dni potem, na dworcu kolei, w chwili wyjazdu, i tam z oburzeniem dowiedziała się, jakie to zadanie z polecenia jej godnego małżonka ów szlachetny poseł wypełnia.

Stanisław. Poseł... zadanie... godny małżonek... zupełnie nie pojmuję całej tej historii.

Matylda. To dziwne, doprawdy dziwne, mój panie, bo głównym działaczem całej tej ślicznej komedyi, mój panie.... byleś ty!...

Stanisław. Nie rozumiem ani jednego słowa....

Matylda. O! powtórzę panu, coś mówił do tego niegodziwca w żółtym haweloku i wysokim kapeluszu! Były to słowa.... słuchaj i oniemiej.... były to słowa: »Wia-
domo panu, że są one moją namiętnością, której się wyrzec nie mogę.... więc przez czas mojej nieobecności zajmij się pan niemi i szczególniej pamiętaj o...« Nie, to nad moje siły, tego już nie zdołam powtórzyć!...

Stanisław. Pamiętaj... pamiętaj o czym?

Matylda (z wysileniem.) O obu Karolinach! Ach! Boże! ja tego nie przeżyję!...

Stanisław. O obu Karolinach?

Matylda. Tak nędzniku, o obu... jakby jednej nie było dosyć, żeby mnie do rozpaczki przyprowadzić!

Stanisław. Zdaje mi się, że to sen gorączkowy,... historia z Tysiąca nocy...

Matylda. Przed samym wyjazdem, na peronie, pokazał się jeszcze raz ten straszny człowiek w żółtym haweloku, dał ci niebieską kopertę i szepnął parę słów do ucha. Ty schowałeś kopertę z pozorną obojętnością do pugilaresu, nie domyślając się naturalnie, że ja wiem o wszystkim, o wszystkim! (płacząc) Ach to zdrada! ohydne!

Stanisław (wybuchając śmiechem.) Niebieska koperta!... peron!... na wszystkie duchy nieba i ziemi!... umrę ze śmiechu!...

Matylda. Gdy mnie serce pęka z bóleści... Ale! to zimne okrucieństwo jest godnem zakończeniem obłudy.

Stanisław. Lube, drogie dziecię, uspokój się! Zajrzyj do mego pugilaresu, jest tam jeszcze ta nieboraczka koperta, dotąd nie rozpieczętowana.

Matylda (niedowierzająco.) Doprawdy nierozpieczętowana?

Stanisław. Zaklejona szczelnie. Otwórz ją.

Matylda. Ja? Ja? więc mam cię demaskować ostatecznie?

Stanisław. Demaskuj, tylko prędko!

Matylda. A więc!... (Otwiera szybko kopertę.) Dwie marki pocztowe nic więcej.

Stanisław. I do tego używane! (Świeci jej.) Proszę znajdujące się na nich stemple pocztowe dobrze obejrzeć i odczytać napisy, ale uważnie przeczytać.

Matylda (zgłoskuje.) N-o-r-d Nord C-a-r-o-l Nord Carolina!

Stanisław. Tak, tak... Wilmington Nord-Carolina. A na drugiej?

Matylda. S-o-u-t-h South C-a-r South Carolina.

Stanisław. Doskonale. South Carolina.

Matylda. A ten niegodziwiec w złotym haweloku...

Stanisław. Jest handlarzem marek pocztowych, których posiadam zbiór prawie zupełny. Brakowało mi między innemi Północnej i Południowej Caroliny, więc mu poleciłem starać się o znaczki z tych dwóch stanów amerykańskich... Dostarczył mi ich na poczekaniu... ale od tego czasu pani była tak na mnie zagniewaną, że nie miałem chwili swobodnej, aby się zająć (z przyjacielskiem) »tą moją namiętnością, której wyrzec się nie mogę,« więc nie odpieczętowałem nawet koperty.

Matylda. Mój Boże! a ja z tego wysnułam taką straszną historią...

Stanisław. A widzisz! trzeba będzie teraz przeprosić swego »godnego małżonka,« bo przecież dobra żona, gdy uzna sama, że nie miała słuszności, to...

SCENA VII.

Ciż sami. Elżbieta.

Elżbieta (wchodząc śpiesznie.) Zbliża się do łysego Kasperka!... Prędzej państwo, prędzej!... (Wybiega.)

Stanisław (z komiczną uroczystością.) Słyszysz, to głos wyroczni przemówił przez tę kobietę!

Matylda (wesoło.) A więc zbliżam się do ciebie, łysy Kasperku... przebacz mi, przebacz!

Stanisław. Przebczam ci aniele, ale niechaj już nigdy nie będzie cienia podejrzeń.

Matylda. O! nigdy! a gdyby zresztą kiedy pojawiły się, to pamiętaj o tem, że wszelkie cienie rozprasza...

Elżbieta (ukazuje się we drzwiach.)
Wschód słońca!

(Zasłona spada).

Batożek.

Komedyjka w dwóch aktach,
ułożona na tle życia Kościuszki przez A. Korzeniowskiego.

OSOBY:

ANTOŚ, FUNIA, dzieci siodlarza Jana. TOMASZEK, KAROLEK, TADZIO, ZOSIA, dzłeci rzemieślników i mieszczan. MARCELEK, syn bogatego obywatela.

Rzecz dzieje się w Warszawie r. 1794.

AKT I.

Sklep siodlarza Jana, biedny, opuszczony; kilka rzemieślnych rzeczy, okrytych pyłem, wisi na kołkach. Antoś siedzi przy warsztacie i plecie batożek.

SCENA PIERWSZA.

(Antoś przerywając robotę.)

Nigdy go nie skończę, ręce mi drżą, jak we febrze. Bez tatki rady sobie dać nie mogę. Mój dobry Boże! czemu mię już wielkim nie zrobisz? Czemu ja nie tak silny i nie tak zręczny, jak nasz czeladnik,

co nas opuścił, porzucił? Dałbym wszystkiemu radę! O tatce ani słuchu, od kiedy namówiony przez pana majstra Kilińskiego wyruszył z sąsiadami do Kościuszki. Groźna nie ma w domu... Matula chora...

(Po chwili.)

Kiedy ja ten batożek skończę?... Paniecz, co go upleść kazał, ma dziś przyjść po niego i zapłacić. Jak zobaczy niezdarną robotę, gotów nie wziąć i pieniędzy nie dać! Matko Boska! pomóż mi! Ja nie dla siebie, ja dla mej matuli proszę! O! Matko Boska nasza!

(Pracuje gorliwie. Wchodzi Funia i na palcach zbliża się do Antosia.)

SCENA DRUGA.

Antoś i Funia.

Antoś (spostrzegając Funię.) A co matula?

Funia. Śpi teraz.

Antoś. Chwała Bogu.

Funia. Za wszystko Bogu chwała, jak nas matula uczyła. Ale jaki to sen, pożałuj się Boże! Twarz blada, oczy niezupełnie zamknięte; rękami rzuca, czasem je jak do modlitwy złoży i krzyż w powietrzu robi, jak to nad naszymi głowami zwykle czyni.

Antoś. Kochana matula!

Funia. Gdzieś tam serce jej cierpi, nie śpi, i czuwa nad nami; bo przemówi we śnie czasem, a głos taki słodki, że oglądam się na obrazek, czy to nie Czesłochowska przemówiła. W niebie tylko taki głos być

może! Jak powie przez sen: Funiu! Antosiu! to mi łyzy gwałtem do oczów się ciśną i szlochać się chce, a boję się i uciekam do ciebie (płacze.)

Antoś. Nie płacz, Funieczko! Bóg taki dobry, tata i matula tacy pocziwi, toż i oni mają zapewne łaskę u Boga. On nasiich nie opuści. Ot! widzisz, nie łaskaż to z nieba, ja co nie umiałem przy tatce nic zrobić, teraz, patrz...

(pokazuje jej batożek)

jaki siarczysty batóg plotę. Matuli mej pracy potrzeba, to Bóg mię pracować nauczył.

Funia. Tem bardziej mi smutno. Wiadać ja nie mam łaski u Boga, kiedym do niczego, kiedy ani tobie, ani matuli pomódz nie mogę w niczem.

Antoś. Grzech tak mówić, Funieczko! A któż ciebie nauczył, jeżeli nie Pan Bóg, abyś, jakby już dorosła, tak czuwała, tak pielęgnowała chorą matulę. Ty nie śpisz, modlisz się! na skinienie matuli jesteś ciągle; ja nie śpię i pracuję. Jak ojciec powróci, powie: Dobre dzieci!

Funia. Ale kiedy powróci i czy powróci?

Antoś. Jeszczeby! A czemużby nie miał powrócić?

Funia. A jak go Moskale gdzie zabiją?

Antoś (zrywa się od warsztatu.) Jak to być może, żeby Moskal mógł Polaka zabić!! Wszakżeś widziała, jakto oni uciekali gdy we wielki czwartek pan majster Kiliń-

ski i różni rzemieślnicy ich z Warszawy pędzili! A tatko teraz przy panu Kościuszcze, co to powiadają, ma takie czary, że z każdego człowieka żołnierza dzielnego robi, a wszystko, co pod ręką ludziska mają, w broń niezwalczoną zamienia.

Funia. Słyszałam o tem. Ale nim tatko powróci, matula bez pomocy, a taka chora! Nuż jej się uprzykrzy i odejdzie do Boga!

Antoś. Wstydz się Funiu! Matula nie zechce dzieci swoich opuścić.

Funia. Biedni my, biedni, i matula i my! Już od wczoraj kawałka chleba nie ma w domu; leków dla matuli nie ma!

Antoś. A zapomniałaś, co ksiądz od fary nam mówił: »Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy.« Nie płacz Funieczko! Przecież ja mężczyzna. Nie dam zginąć wam. Ot (bierze batożek) batożek ukończę; panicz przyjdzie, bo obiecał: zapłaci dziesięć złotych i będziemy mogli tego ziela kupić, co doktor powiada, że podźwignie matulę z łóżka.

Funia. A może, może ten panicz, gdy zobaczy, że my tacy biedni i tacy mali przy matuli chorej pracujemy, to przyrzuci co jeszcze i cytrynę dla matuli będziemy mogli kupić.

Antoś. I to być może, ale to niepewna. Bogaci nie wiedzą, co nędza, co bieda, gdzie im jeszcze myśleć o nas! Ale gdy bardzo kontent będzie z batożka, to może co na piwo mi da: bo to podobno już ich zwyczaj taki, kiedy zadowoleni z biednych, to dają im pieniądze na napój.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami: Karolek, Tadzio, Zosia, Tomaszek.
(Wbiegają z krzykiem i hałasem.)

Zosia. Funiu! Funiu!

Karolek. Chodźcie! chodźcie!

Tadzio. Tylko prędko! prędko! Bo przejdą — nie dogonimy!

Tomaszek. Śliczności! Śliczności!
Chodźcie! Chodźcie!

Antoś. Dokąd? po co?

Funia. Nie hałasujcie! Matula chora, obudzić ją. Nie hałasujcie!

Tadzio. Teraz wszyscy zdrowi być powinni!

Funia. Cicho, Tadzio! Wszak i ty kochasz swoją matulę i płakałbyś, gdyby jej ktoś przykrość zrobił.

Antoś. Ależ mówcie, tylko nie tak głośno, czego biegacie po ulicach? Co się stało? Czegoście tacy zadowoleni?

Zosia. Nasi idą! nasi przyśli! I mój tatko, i twój i jego — wszyscy.

Antoś i Funia. A nasz? a wasz?

Zosia. A i wasz jest zapewne. Ale gdzie tam na kogo patrzeć, kiedy na siebie oczy zwraca ten, co na przedzie jedzie, Chodźcie, chodźcie! Zobaczycie Kościuszkę.

Tadzio. Jaki konik tęgi pod nim! Idzie, jak na powietrzu, oczy mu świecą, rozgląda się po ulicach, ale to jak człowiek! Uszami strzyże i ciągle parska, a ludziska wrzeszczą: »Na zdrowie! na zdrowie!« Ogon jak czub! A taki śliczny, że u żadnej pani na głowie takiego nie widziałem.

Zosia. Konik piękny, dzielny, żywy — prawda. Ale on na nim jeszcze pięk-

niejszy! On! Ach! Funiu, on taki — taki, że mimo woli do Boga się wzdycha, aby do niego tatko lub brat był podobny.

Tomaszek. Bo szabla brzęczy! Bo to ładownica na nim połyska! Bo to czapka na bakier, zdaje się ot, ot w górę polecieć! A ostrogi świecą u butów. Gdy się poruszy, to i wojsko ten sam ruch powtórzy. Gdy skinie, to się wszystko wojsko i lud pochyli, jak to kiedyś widziałem na polu kłosa się chyliły, gdy wichher przeleciał.

Zosia. A jak patrzy! jak patrzy na nas, na cały lud, co się ciśnie mu do nóg! Tak patrzy, jak kiedyś widziałam, mój starszy brat na swoją narzeczoną patrzył, gdy szli do ślubu. Gdyby ludzie tak ciągle na siebie patrzeć mogli, to prędkoby wszyscy ze szczęścia pomarli i staliby się aniołami.

Antoś i Funia. To pewno Kościuszk! Pewno Kościuszk!

Tomaszek. A jużci nie kto inny. On tylko jeden może być tak od wszystkich kochany! Czy wy wiecie, że gdy on stąpa po kraju, to ludzie mu do orszaku, jak z pod ziemi rosną; każdy rzuca dom, żonę, dzieci...

Zosia. Bo on ich do dobra wszystkich prowadzi.

Funia. I nasz tatko tak mówił, kiedy nas porzucał; bo powiadał, że my i matula i tatko nawet to nie, gdy o wszystkich chodzi.

Tomaszek. Mówią, że on czarodziej, pan Kościuszk. Że ma takie dwa słowa, że jak je powie, to wysokie się chyli, a ni-

skie wyrasta. Poczekaście, przypomnę sobie...

Wszystkie dzieci. Przypomnij przypomnij i powiedz! To i my taką moc mieć będziemy, jak Kościuszko.

Tomaszek. Ojczyzna i ofiara!

Karolek. A toż to nam powtarzać te wyrazy jak pacierz, bo mój tatko tłumaczy, że chociaż trudno, abyśmy Kościuszkami byli wszyscy, ale te wyrazy złożą z nas siłę, którą pan Kościuszko wojuje.

Wszystkie dzieci oprócz Funi. Chodźmy krzyczeć około niego te czarodziejskie słowa! Chodźmy, chodźmy!

(Wybiegają ze sklepu. Antoś porzucił batożek i za niemi chce wybiedz.)

SCENA CZWARTA.

Antoś i Funia.

Funia (zatrzymuje brata.) A tyś zapomniał, że tatko do tych wyrazów pana Kościuszki dodawał trzeci jeszcze: Poczciwość!

Antoś (spiesząc.) Nie zapomniałem, nie. Puszczajże, niech to przypomnę kołegom!

Funia. Ale czy sam będziesz pocciwy, jak porzucisz matulę, batożka nie dokończysz, ziela dla matuli nie kupisz?

Antoś. Ależ Funiu — to Kościuszko!

Funia. Gdybyś był dorosłym, jak tatko, to jabym ciebie nie zatrzymywała, jak matula ojca nie zatrzymywała.

Antoś. Tyś mądra dziewczyna Funiu i pocziwa bardzo. Dziękuję tobie i ko-
cham cię jeszcze więcej. Idź do matuli, ja
zostanę przy batożku, bo to obowiązek,
a obowiązek to godność nasza, biednych lu-
dzi. (Funia wychodzi.)

SCENA PIĄTA.

Antoś sam.

Antoś (pracuje i kończy batożek)!
Przecie! Jakoś mi poszło dobrze. Widać
Bóg nagroził, że się przyjemności wy-
rzekł. (Trzaska biczkiem.) Tęgo! ślicznie.
Chyba ten panicz bardzo wymyślny, gdy
nie będzie zadowolony. Aż mi żal ten ba-
tożek oddawać, Oj, tobym nim sztuk do-
kazywał. Aj! aj! Gdybym ja był na miej-
scu tego panicza, a dla mnie kto biedny
taką przyjemność zrobił, dałbym mu... dał-
bym... aż dukata i jeszcze kilka groszy.
Już i nasz dawny czeladnik nic lepszego by
nie sporządził. Batóg na urząd, co się zo-
wie! (Po chwili). Możebym teraz mógł
pójść do pana Kościuszki? Co? A nuż
pójdę? Bo nasze przekupki powiadają, że
do takiego człowieka to i pomodlić się nie
grzech. A pójdę. (Po chwili.) Nie. Lepszą
mam rozrywkę. Pójdę zobaczyć matulę;
może się obudziła, może mi co powie do-
brego, że aż wyrosnę! (wchodzi do pokoju
matki.)

SCENA SZÓSTA.

Marcelek później Antoś.

Marcelek (wchodzi w czapce, rozgląda się i czapki nie zdejmuje). Nikogo nie ma. Jak tu brudno. Wszędzie zawalać się można. Wszyscy ci rzemieślnicy jacyś niegrzeczni ludzie. Zapach przykry — coś czuć! Nikt nie przychodzi... Cóż to? Czeakać na siebie każą? Zawołam lokaja, aby ich odszukał i powiedział im, że źle służą i już nigdy roboty im nie dam. A może sam krzyknę... (woła) Hej! jest tam kto?... hej! Antoś wybiegając z pokoju matki.) Niech pan tak nie krzyczy.

Marcelek. A ty jak śmiesz mi rozkazywać?

Antoś. Ja proszę tylko. Matula nam chora i spoczywa, ot tam w komorze.

Marcelek. To mógłbyś grzeczniej prosić.

Antoś. Co to paniczu, grzeczniej? Tatko mi mówił, że prawda zawsze grzeczna, a to prawda, że matula chora i że panicz tak wrzasnął, że aż mię ciarki przeszły, aby matula się nie obudziła.

Marcelek. Batożek gotów?

Antoś. Gotów, proszę panicza.

Marcelek. Pokaż go.

Antoś. Oto jest. Staralem się koło niego, aby mi panicz darmo nie płacił. Świszczy siarczyście! Trzaska jak z pistoletu! Niech panicz spróbuje. (podaje batożek Marcelkowi).

Marcelek. A jakie brudne ręce! Mógłbyś je umyć, kiedy masz co komu podawać.

Antoś. Nie miałem czasu się opłukać, tylko co skończyłem robotę. Niech panicz spróbuje.

Marcelek (próbując batożka.) Batożek dobry. Trzaska wyśmienicie, świszczy nie źle. Ale żeś był niegrzeczny dla mnie, więc go nie wezmę.

Antoś (przestraszony.) Ach! paniczu mój złoty!

Marcelek. Na drugi raz będziesz miał rozum.

Antoś. Mój paniczu najmilszy!

Marcelek. Będziesz wiedział, co grzeczność.

Antoś. Będę, będę paniczu! Przepraszę, jak zechcesz. Do nóg upadnę. Tylko weź robotę. Tylko zapłać mi za nią.

Marcelek. Dobrze u nas mówią, że ci biedni bardzo na pieniądze chciwi. Wstydz się!

Antoś. Prawda. Chcę tych kilka groszy; to pierwsze moje zapracowane. Tato mówi, że pierwszy grosz zapracowany, to pierwsze błogosławieństwo Boże. Ja chcę mieć swój zarobek.

Marcelek. Chcę!? No, proszę! On mi rozkazuje! Obedrzeć gotów!

Antoś. Ależ to na ziele dla chorej matuli! Ależ ona umrze, jak ja tego ziela nie kupię! O! mój panicyku kochany! Łaj mnie, wymyślaj, uderz, jeżeli zawiniłem, ale nie odmawiaj zapłaty. Tam matula słabuje, Funia tam płacze, a ojca nie ma, nikogo nie ma.

Marcelek. A co mi do tego? Byłeś niegrzeczny, muszę cię rozumu nauczyć.

Tatko powiada, że my was wychowywać powinniśmy.

Antoś. Srebrny, złoty, dobry paniczu! Ja całe życie wdzięczn ci będę! Ja się modlić za ciebie nie przestanę! I matula moja, jak oprzytomnieje i podniesie się z choroby, za was i za waszą matulę prosić będzie. O! mój paniczu! (klęka przed nim.)

Marcelek. Dałem sobie słowo honoru, że batożka twego nie wezmę, muszę dotrzymać (rzuca mu pod nogi batożek.) Bywaj zdrów. — A na drugi raz grzeczniejszym bądź.

(Marcelek wychodzi. Antoś jak osłupiały klęczy przez chwilę.)

SCENA SIÓDMA.

(Antoś sam.)

Antoś (zrywa się.) Pan Bóg większy pan od ciebie! Pan Bóg lepszy od każdego pana! Pan Bóg ma więcej pieniędzy od bogatych — niech tobie nie pamięta! Nie kochasz ty zapewne swej matuli, kiedyś mojej poratować nie chciał. Idźże sobie. Prawda, nauczyłeś mnie rozumu. Teraz wiem, że tylko Bóg dobry sierotom i biednym nie odmawia. Niech się tylko pomodlę, a zobaczysz, że mimo ciebie On mię pocieszy i poratuje.

(Chwilę milczy, jak gdyby się modlił. Za sceną słyhać ruch ludzi i okrzyki: »Niech żyje pan naczelnik.« Antoś na te odgłosy jakby się ocknął.)

Wszyscy biegną, krzyczą, weseli radzi! Pójdę między ludzi, tam takie szczęście, że jak kogo o co poproszę, pewnie mi nie od-

mówi. Tam ich tylu, a wszyscy podobni do mego ojca. Jak im opowiem, to przybiegną. Jak wyciągnę rękę, dadzą jałmużnę. (Idzie i zatrzymuje się nagle.) Nie, tatko mówił, że człowiek zdrow i silny nie ma prawa żebrać. Mówił też, że tylko praca ratuje (chwytając batożek.) A to moja praca. Niech mnie ratuje. Jam płakał, gdy splatałem ciebie. Ratuj mię (po chwili.) To Bóg mi myśl zsyła! Pójdę. — A nuż ten Kościuszko spojrzysz na mnie tak, jak Zosia mówiła, wtedy tyle szczęścia przyniosę do domu, że wszystko dobrze będzie (wybiega z batożkiem.)

(Zasłona spada.)

AKT II.

SCENA PIERWSZA.

Zosia, Tomaszek, Tadzio, później Karolek.

Tadzio. Ależ tu jasno! Ależ tu pięknie! Ależ to jak w kościele!

Tomaszek. Co tu siodeł! Co tu tręzli! Co tu batogów. Gdyby był koń, to bym zaraz kulbaczył, zaraz siadał i jechał do pana Kościuszki!

Zosia. Nie ruszajże tylko nic. Stary pan Jan tego nie lubi, a jego trzeba słuchać i dogadzać jemu, bo powiadają, że on się bardzo dla wszystkich zasłużył.

Tomaszek. Wielka sztuka zasłużyć się przy panu Kościuszcze! Dajcie mi dziecięć moskali, a niech tylko pan Kościuszko na mnie patrzy, to im wszystkim się nie dam, a jeszcze pobiję ich.

Tadzio. Ależ tu pięknie, aż strach! Pan Jan jest zapewne jak król bogaty.

Zosia. A dni kilka temu, pamiętacie! gdy pan Kościuszko wchodził do miasta, jaka to była bieda. Pani Janowa słabowała, pana Jana nie było, Funia we łzach marniała, a Antoś tylko udawał, że jeść nie chce.

Tadzio. Niezawodnie, jaka zabawa tu będzie, że tak się przystroili.

Tomaszek. I po nas wszystkich posłali.

Zosia. A mnie matka wyprawiając, mówiła: »Idźcie do Antosia i Funi, tam wielkie szczęście Bóg dał za pocziwość. Uczcie się od nich i od ich rodziców, jak trzeba żyć na świecie.«

Tomaszek. A mnież tak samo tatko przestrzegął.

Tadzio. I mnie coś mówili, ale ja tak się wyrwałem, że dobrze nie pamiętam. Nic to nie szkodzi. Ja choć czego nie wiem, to będę patrzeć, co Antoś i Funia robią i tak samo robić będę.

Zosia. Ale zkad państwo Janostwo takich skarbów dostali?

Tomaszek. A cóż? Zapewne wszystko przy panu Kościuszcze, bo tatko powiada, że przy nim człowiek jakoby w chwale niebieskiej. A w niebie pewno na dostatkach nie brak.

Zosia. Karolek wie, jak się stało. Obiecał nam opowiedzieć.

Tomaszek. Już i on powinien tu być.

Tadzio. A! ot idzie, idzie!

(Wchodzi Karolek; wszystkie dzieci go otaczają).

Zosia. No! Jakże to było?

Tomaszek. Ty podobno sam widziałeś.

Karolek (z zapalem). I widziałem! I słyszałem! I śmiałem się! I płakałem! Bo wy nie wiecie; wyobraźcie sobie... ludu jakby maku nasiał! pułki idą, muzyka gra, dzwony biją! W każdym oknie i na każdym piętrze tylko głowy widać, tylko ręce klaszczą!... Aż strach!...

Tomaszek. Ależ my to samo widzieli.

Karolek. Prawda, i wyście widzieli; nie to miałem opowiadać. Wyobraźcie sobie pan Kościuszko w białej sukmanie na koniu przodem... Koń szuka bruku, a znaleźć go nie może, bo ludziska tyle tam kwiatów pod kopyta mu rzucili. Pan Kościuszko ręką się kłania, a poważnie spogląda. Na jego oczach, jak matulę kocham, jak tatkę kocham, na oczach dwie takie duże, jasne łzy stoją, że mógłby niemi, jak święconą wodą cały lud pokropić.

Tomaszek. Ot, niedarmo syn zecera. W książkach siedzi, to później gdy gada, w oczach mu druk staje i mówi jak drukowany.

Karolek. No, no, nie kpij ze mnie. Już to prawda, że ja taki. Jak co przyjdzie opowiadać, myśli mi po głowie jak zające skaczą, a czegoś się rozglądam, chciałbym razem widzieć i ziemię i ludzi i niebo i — aż do Pana Boga bym frunął! No, nie wiem jak się stało, że raptem pan Kościuszko się zatrzymał i wszyscy stanęli tak nagle, żem sobie przypomniał historią świętą, jak Bóg żonę Lota w słup soli zamienił. Bo tak wszyscy stanęli nieruchomie, jak ska-

mienieli, i cisza taka nastąpiła, że muchę, co leci, słyszeć można było. Spojrzę: Aż oto nasz Antoś przed koniem pana Kościuszki rezolutnie stoi, tylko, że był bardzo blady. Widzę, batożek wyciąga, a pan Kościuszkowski dobrotliwie się pochyla na szyję konia. Wtem, mówię wam, że tak było cicho, jak gdyby nikogo na świecie nie było, wtem słyszę, Antoś woła: „Panie Naczelniku! Panie Naczelniku!“ Aż pan Kościuszkowski pyta: „Czego chcesz dziecko moje?“ Widać na głos takiego wielkiego człowieka Antoś już przytomność stracił i chciałby przemówić i słowa grzęzną mu w ustach, i tak chwilę mocując się z sobą, stoi milczący. Aż mnie złość porwała, a żal się go zrobiło. Więc wrzasnę z okna: „Wstydź się Antku! tchórzysz!? co?“ — Powiem wam, jak koń zacięty biczem rzucił się nasz Antoś i słyszę, jak mówi: — „Ja się nie boję! ja nie tchórzę! Żli tylko boją się pana Naczelnika. — Ja syn Jana siodlarza, pan Naczelnik pewno zna go, syn tego Jana, co to pomagał panu Kilińskiemu! Ja bardzo biedny! Oto batożek, sam nie umiejąc prawie, tylko z Bożą pomocą, sporządziłem go. Matka złożona chorobą, mała siostra, taka śliczna, żeby pan Naczelnik wiedział, płacze, aż serce się kraje. Batożka nie chcą przyjąć do obstalunku... A tu chłodno! głodno! Ziela na leki dla matuli nie ma kupić za co. Wszyscy ludzie dobrzy, ale pan Naczelnik pewno najlepszy! Jak on nie kupi batożka, to już chyba Bóg go kupi. Proszę pana Naczelnika wziąć go. Jabym darował, ale Bóg świadek, że mi koniecznie tych kilku

złoty dla matuli potrzeba. Weźcie go panie Naczelniku! Weźcie a zapłaćcie, bo mi bardzo smutno i straszno.“ I jak ryknie płaczem, aż lud sobie płakać zaczął. A pan Kościuszko wziął batożek w ręce, Antosiowi dał dwa dukaty, a obróciwszy się do otaczających rzekł: „Kto mię kocha, zamówi taki batożek u tego młodego majstra?“ No, co?

Zosia. Cóż dalej?

Karolek. Antosia pochwycili oficerowie i obywatele między siebie, wzięli go na ręce i odwieźli do domu; a tyle zamówień na podobne batożki zrobiono, że pan Jan nastarczyć nie może i już ma majątek.

Wszystkie dzieci. Oto Antoś szczęśliwy!

Karolek. A bo i pocziwy.

Zosia. Mogą się cieszyć jego rodzice, gdy Bóg ich tak nagradza pociechą z dzieci!

Tomaszek. Ot wiecie co? Ja, co myślę ciągle bić się i wojować, widzę dobrze, że i bez tego można pięknie się zasłużyć. A otóż Antoś i Funia. Ktoż to jeszcze z niemi?

SCENA DRUGA.

Ciż sami, Antoś, Funia, Marcelek.

Wszystkie dzieci. Antosiu! Funiu! Jacy wy szczęśliwi! Jak my was kochamy!

Antoś (biorąc za rękę Marcelka). Pokochajcież i jego, bo to nowy nasz przyjaciel.

Karolek. A więc i jego kochać będziemy. Im więcej, tem lepiej. Ale najwięcej was — pocziwych!

Funia. Nie nasza to zasługa, żeśmy tacy, bo i Bóg nas tak stworzył i rodzice nauczyli być takimi. A on sam się domyślił, że źle zrobił; sam pożalował i sam przyszedł do nas z wielkim wstydem.

Wszystkie dzieci. A cóż on zrobił?

Funia. A jeżeli nie wiecie, wiadomość ta wam niepotrzebna. Wiedźcie tylko, że to nasz przyjaciel i kochajcie go, jak nas kochacie.

Marcelek. Ja nie chcę mieć przywiązania darmo. Nie chcę nikogo oszukiwać. Źle zrobiłem. Myślałem, że wszyscy mi dogadzać, że wszyscy służyć mi powinni. Przebaczenie mi, bo dosyć sam już się napłakałem!... Nikt nie widział mego wstydu, gdy opowiadano u moich rodziców, opowiadano ze łzami w oczach historią Antosia i jego batożka. A ten batożek ja odrzuciłem dla dogodzenia gniewowi niesłusznemu. Ja odrzuciłem ten batożek, który przywiązanie do matki pletło, który wytrwała praca uświęciła, a poczciwy uczynek zapłatą mu być miał. Odrzuciłem, a ci, co opowiadali tę historią, nie wiedzieli mego nazwiska, lecz Bóg je wiedział. Bóg mój żal zobaczył i myśl mi dobrą zesłał. Poszedłem do rodziców Antosia, przeprosiłem ich, a wiem, że i Bóg mi przebaczył, bo oni mi pobłogosławili, a błogosławieństwo ich to przebaczenie Boże!... Teraz przy was wszystkich przepraszam Antosia i Funię, przepraszam was i wszystkie polskie dzieci, którym złemi być nie wolno.

Wszyscy. Przebaczymy! przebaczymy! kochamy! kochamy!

Marcelek. Pozwólcie więc mi pozostać między wami i podzielić się szczęściem dzieci tych ojców, którzy za nas wszystkich walczyli.

Karolek. Zuch chłopiec! Pięknie mówi.

Tomaszek. A ty zaraz myślisz, że z twego cechu, że on także syn zecera.

Karolek. A, potroszę. Bo, co ojcowie zecerowie układają, to on czyta, więc trochę jest ich dzieckiem.

Marcelek. Ich dzieckiem trochę — ale waszym bratem zupełnie.

Funia. Radość więc i szczęście i zgoda! Tatko powiada, że gdyśmy śmiecie nieprzyjacielskie z Warszawy wymietli, to i zabawić się godzi. — A! otóż i muzyka! (Wchodzi muzyka i jeszcze kilkoro dzieci płci obojej).

Ot i reszta towarzyszy. — Zapraszam do tańca!

Tadzio (do muzyki). A no, grajcie grajki! A tylko od ucha, jak mówi dziadunio, kiedy się weseli.

(Muzyka gra krakowiaka. Funia z Marcelkiem w pierwszej parze; inne dzieci parami za nimi zaczynają tańczyć. Zastona spada).

Cyganki.

Komedyjka w jednym akcie

przez Paulinę z L. Wilkońską.

OSOBY: Stach, dworski parobek. — Różia, jego żona. — Bartek, brat Rózi. — Halka. — Basia. — Marysia. — Pieśko, parobek. — Cyganka 1. — Cyganka 2. — Wieśniacy.

Rzecz dzieje się w chatce Stacha.

SCENA I.

Izdebka schludna, pod ścianą stoi skrzynka.

Różia (siedzi nad prześlicą, za sceną słyhać skrzypki.) Słyhać skrzypki na wsi: będą obchodzili dożynki, będą tańcowali na dziedzińcu, skakali, aż do północek chyba. Pan ich ucęstuje piwem, owocem, kołaczami, pohulają sobie. Ale ja z niemi nie pójdę. Co mi tam!... Co mi tam za zabawa! (kiwa pogardliwie głową.) Pan Staśka lubi, toć prawda, dał nam ot tę chałupkę, niezgorszą Bogiem a prawdą, aleć to nie domostwo gospodarza Jędrzeja, oj nie! Co nie, to nie! Tam gdzie spojrzeć, aż się w oku zaświeci: ściany bieluśkie, dach gładziuchny, okna i drzwi pomalowane czerwono, a ja co mam? Ot, strzechę, chałupę zwyczajną, mój Boże, mój Boże! (składa ręce i smutno pokiwując głową.) Dałci pan i krowinę Stachowi; ależ Bietka, co razem ze mną rosła, a potem poszła za gajowego, przecież trzy ma krówki, co mi tam jedna! Mam ja już i cielątko, ładne, graniaste, ale cielę to nie krowa. Co mi tam! A Kubiczowie, gospodarze, to aż cztery krowy mają, dwa cielątko, ba, już teraz jałówki, sześć świniak, parę koni, a drobiu to i nie naliczy! Jadą też sobie

zawsze porządnym wozem do kościoła, a ja, ot, muszę iść piechotą. A przecieć i na jarmark sobie pojedą i na odpust tu i owdzie, a ja, mój Jezu, siedzę i siedzę, i człek ani użyje świata! (wspiera się nadąsana na prześlicy i siedzi zamyślona.) Jaśkowa, jaką to w przeszłą niedzielę miała piękną spódnice, iście gdyby woda, taka czysta, a w niebieskie kwiatki i fartuch jedwabny, kitajkowy i chustkę, niby jaka szlachcianka, czerwoną ze szlakami, jak gdyby były żywe! A co ja mam? Nic! Parę szmatów niezgorszych i kwita; spódnice czerwoną i zieloną i granatową i białą; żupanik w prążki muślinowy i znowuż w niebieskie prążki, i gorset jeden z granatowego sukna, drugi zielony kamlotowy, ale co to znaczy!... Jędruchowa wcale inny ma przyodziewek. Staśko dostał od pana pieniędzy i kupił mi ładną chustkę w kwiaty, wełnianą, jak organisciny, i czepiec i wstęgę czerwoną. Ale co tam! Jejmość matka naszego pana podarowała mi też sukna cienkiego na kaftan za to, żem piastowała dziecię pańskiej siostry, jak tu była na święta, dostałam korale, (wskazuje kilka sznurów koralów, które ma na szyi.) Ale, co tam sukno i co tam korale! Mnie żadno czego innego.

SCENA II.

(Wehodzą dwie cyganki i mówią razem).

Dobry wieczór, szczęść Boże! jasna gosposiu.

R ó z i a. Dobry wieczór! A zkądże Bóg prowadzi?

Cyganka 1. Od Ryczywoła, jasna gosposiu.

Cyganka 2. Chciałybyśmy wam przynieść wesele, gosposiu, dostatek i dobytek i wszelką szczęśliwość serca. A przysyła nas do was gospodyni Marcinowa, ot tam z drugiego końca.

Różia (porywa się z radością). Marcinowa? Oj to! Czy wam mówiła, czego ja chcę?

Cyganka 1. A jużci! Przecież gadałście jej nieraz, że chcecie, aby wam powróżyć, jasna gosposiu.

Różia. Ej nietylko to! Ale słyszałam, że są pomiędzy wam takie, które wszelki zły urok odpędzić umieją, a potrafią sprowadzić dostatki i majątek.

Cyganka 2. A jakież to chcecie dostatki, miła gosposiu?

(Cyganki dają sobie znaki potajemne.)

Różia. Jużci chcę mieć ładne domostwo, ogród, gdzieby rosła marchew, cebula, pietruszka; kapuśnik z głowiastą kapustą, sad z gruszkami, śliwkami, a prawdziwemi węgierkami; rolę, łączkę, stodółkę, chlewiki, kilka krowin, a jedną graniastą, i cielątka i ładne koniki, porządny wózek, albo ot, lepiej bryczułkę, jak wej Wojciechowie w Kobylnicy, i ładne szmaty; i kapotę z futerkiem na zimę, oblamowaną, wyszywaną i dla Stacha cały przyodziewek. Wszak wy potrafcie to, cyganki jedyne, żeby oj tak wszystko kapało, gdyby z deszczem.

Cyganka 1. Ha! zobaczymy, jasna gosposiu. Już to parę razy nam się udało, bośmy właśnie na szczęśliwą godzinę trafiły.

R ó z i a (klaszcze w dłonie radośnie.)
 Udało się! Mówiła mi o tem Marcinowa.
 Udało się! a może też i dziś, oj na szczę-
 śliwą traficie godzinę. O moje kobieteczki
 kochane (głaszcze jedną i drugą,) jużbym
 o was przez całe życie moje pamiętała.
 A chcę mieć i na pościółkę schludne okry-
 cie i szafę ze szkłem czerwoną, i zwiercia-
 dło, jak u pani ekonomowej, i rądelków pa-
 rę, jak to w dworskiej kuchni, i kociółek, i...

C y g a n k a 1. No spróbujemy, spróbu-
 jemy, jasna gosposiu, może się uda.

R ó z i a. Uda się! uda! Tak mi coś
 szepce. O moje cyganki jedyne!

(Cyganki mrugają na siebie.)

C y g a n k a 2. Więc najprzód pięknych
 sukien chcecie, miła gosposiu?

R ó z i a. A jużci, bo człek nie ma co
 na się włożyć.

C y g a n k a 1. To nam podajcie na
 pokaz najlepsze szmaty wasze, abyśmy je
 zamówiły i szczęśliwego przyczyniły uroku.

R ó z i a (otwiera skrzynkę i wydobywa
 z niej rzeczy.) Otóż macie spódnice, fartu-
 chy, chusty, kaftan z cienkiego sukna...

C y g a n k a 1. I chcecie pięknego do-
 mostwa nowego?

R ó z i a. A jużci, boć to tylko chłopskie.

(Rusza ramionami pogardliwie.)

C y g a n k a 1. Toż idźcie gosposienku
 pod strych i przynieście mi garstkę słomy
 z dachu, bym i na nią szczęśliwy rzuciła
 urok, abyście zawsze pod nowym ładniuch-
 nym mieszkali dachem.

R ó z i a. Zarusieńko, zarusieńko, kobiecezki jedyne. Pod samusienek strych poskoczę. (Wybiega pospiesznie.)

SCENA III.

(Dwie cyganki).

C y g a n k a 1. Wyjrzyjno, gdzie poszła.

C y g a n k a 2. (uchyliwszy drzwi). Oj, het na górę.

C y g a n k a 1. To zwijajmyż się co ducha. Dalejże! Dalej!

(Zabierają rzeczy i uciekają).

SCENA IV.

R ó z i a. Niosę, niosę garść całą. Ale gdzież cyganki? (ogląda się w około). Gdzie moje suknie? (załamuje ręce). Gdzie moje szmaty wszystkie? Skradły! uciekły! ratujcie! gońcie! (wybiega).

SCENA V.

(Słychać śpiewy po za sceną).

(Halka i Marysia).

H a l k a. A gdzie Różia?

M a r y s i a. Poszła pewnie nie daleczko, kiedy izba była otwartą, toć i nadejdzie.

H a l k a. Ale już chyba i czas do domu?

M a r y s i a. Dopiero się zbierają. Pieśko jeszcze basetlisty nie sprowadził.

H a l k a. To i poczekajmy na Rózię.

(Siada przy prześlicy a Marysia opodal na ławce).

H a l k a (oglądając się). Jaka też to schludna izdebka, Panie Boże, daj każdemu taką! Nie zacieka, kominek gdyby ulął, piecyk nie dymi, okienko widne, jest i po-

dłoga i komórka ze zamknięciem i dołek do schowania tego i owego, mój Jezu kochany!

Marysia. I wszystkiego mają pod dostatkiem i Różia pracować nie potrzebuje: szczęśliwa jej dola! Boć też to Stasisko poczciwy a porządny parobek i pracowity i dbały o wszystko, to go też pan lubi i dobrze im się wiedzie.

Halka. Z niego człek dobry i nie leni się do niczego, ale Różia, dziewczuszka kochana, Różia ma muchy w nosie (kiwa ręką i pokręca głową) oj powłaziły jej, powłaziły! Wszystkiego jej się czegoś zachciewa, niby jakiej pani, i z niczego niekontenta: Panie Boże uchwaj!

Marysia (z przekąsem). A jeszcze jej Marcinowa głowę zawraca.

Halka. Jużci prawda! Boć też to filut baba, (podnosi palec do góry) filut na czem świat stoi, mówię ci, dziewczucho.

Marysia. Alboż ja tego nie wiem? Dogaduje Rózi, dogaduje, a ta ją za to anyżówką, to piołunówką, to pestkówką ucęstować musi, jeno ją psuje i zawraca jej myśli.

Halka. A Rózi i tak już niczego nie dosyć.

Marysia. Zwyczajnie kto ma wiele, jeszcze więcej pragnie. Pewnie ona idzie (oglądają się).

SCENA VI.

Marysia, Halka i Basia (wbiegająca szybko).

Basia. A gdzieżeście się podziały, dziewczęta?

Marysia. Czekamy tu na Rózię.

Basia. Już prawie zeszli się wszyscy, a przede dworem, już tam zastawili i piwo, owoce i kołaczki; pono i sama jejmość, matunia naszego pana, przyjechała z Korytnicy.

Halka (uderza w dłonie radośnie). O dziękuj Bogu! to nam znowu da po wstędze, jak łońskiego roku.

Marysia (powstając) Zawszebyś chciała!

Halka. Ależ, bo to dobra, kochana pani! A pamiętacie, kiedy Szymonowie pogorzeli, co to im nadawała wszystkiego?

Basia. I kiedy Jagula szła za mąż, to dostała opatrzenie, gdyby od matki rodzonej!

Marysia. Dobra pani, ani słówka! Boże daj jej niebo.

Halka. Już też, bo i Jagula służyła jej lat tyle, a to pracowita i pocziwa dziewczucha.

Basia. Chwalicie jejmość, a nic nie mówicie o paniczku, a to przecież jej syn urodliwy.

SCENA VII.

Basia, Halka, Marysia, Bartek.

Bartek. A to co? Zasiedziały się tutaj, bajdurzą sobie, a my tam czekamy. Już i Pieśko kulawego Janka przyprowadził z basami.

Marysia. Czekamy tu na Rózię.

Bartek. A gdzież się podziała?

Halka. Jużemy jej nie zastały.

Basia i Marysia. Idzie! idzie!

SCENA VIII.

Halka, Basia, Marysia, Bartek i Różia.

Różia (płacze i załamuje ręce). Nie masz, nie masz ich nigdzie! Biegłam za

niemi przez łąkę, bo mi mówił Maciuś, że wtedy biegły, ale uciekły! uciekły! o ja nieszczęśliwa!

Marysia, Halka, Basia (obstępują ją). Co się stało? Co to? Czegoż wyrzekasz?

Różia (z wybuchem płaczu). Cyganice mnie okradły! oszukały! zrabowały!

Dziewczęta. O hultajki, o ladaco!

Halka (biorąc ją za rękę). Ale jakżeż to było?

Marysia (chwyta ją za drugie ramię). Chyba ciebie w domu nie było? (Różia płacze).

Marysia. No gadajże.

Bartek. Mówże przecie, bo człek ani wie, jak ci poradzić.

Różia (łkając). Miały szczęśliwego przyczynić uroku!... bym miała dostatki... i czego tylko zapragnę...

Bartek (śmiejąc się). Ot śliczne masz dostatki! pustą skrzynkę!

Halka (do niego). Dajże jej pokój Bartku!

Bartek. Oj głupie, głupie kobiety! Dziękujcie Panu Bogu za to, co macie, a w żadne nie wdawajcie się czary, boć to są sprawy czartowskie.

Różia (płacząc). Mam też teraz za swoje... i ta Marcinowa!

Bartek. Po co było nadstawiać ucha tej starej pokusie? Cała wieś już poczęła gadać, że i ciebie wykieruje na takie licho, jakim ona jest sama. Masz teraz! płacz, szlochaj, dobrze ci tak!

Marysia (do Bartka). Ależ Bartku, Bartku! ona już dosyć sturbowana, biedaczka.

Bartek. Po cóż jej tam z cygankami jakieś konszachty i czary. Nasz dobrodziej natarłby jej uszów za to dobrze. Gdyby takie cyganice umiały napędzić dostatków, tożby same dla siebie najpierw zrobiły i nie tułały się marnie po świecie, bez odziewku i o żebranym albo kradzionym chlebie. Oj głupia, głupia kobieto!

Marysia. To też ukarana srodze nieboga.

SCENA IX.

Halka, Basia, Marysia, Bartek, Rózia, Stach.

Stach (niesie tobół rzeczy i rzuca je na stół). Ot masz! A podziękuj Panu Bogu! żeś wszystkich szmat nie postradała.

Rózia (dobiega i ogląda z radością! wszyscy ją otaczają). O moje sukienki! o moje fartuszki! o moje chusty kochane; mój Jezu, mój Jezu, przecież mi się wróciły,

Bartek. To istne szczęście i Opatrzność Boża! Jakżeś ty odzyskał te szmaty?

Stach. Widzisz człeku, ot tak. Jechaliśmy z panem przez pole, a tu mignę cyganice z tobołem. Pan mówi: »Pewni-kiem te włóczęgi co we wsi pokradły, gońmy za niemi!« Jak też zatnę konie, jak popędzę, to jeno świszczają za niemi. Dopędzamy urwiszów, i ja ot od razu poznaję szmaty mojej Rózi. Boć przecie je znam i wiem (wszyscy mu potakują). Nuż więc na nie! Oj wy hultajki! oj wy złodziejki! A cyganice się tłómaczą, że im kobieta sama wszystko oddała, bo żąda piękniejszych sukien;

(Różia twarz fartuchem zakrywa) że one mają szczęśliwego przyczynić uroku; że kobieta moja chce domostwa nowego, roli, ogrodu, sadu, bydelka, koników, i Pan przenajświętszy wie, czego tam wszystkiego! A! raczej wie licho, istne licho, boć to jeno złe duchy takie podszeptują zachcianki, a człeka pocziwego aż mrowie przechodzi. Pan kazał cyganicom rzeczy odebrać i nakazał surowo, by we wsi nie pokazywały się więcej. Gdyby nie pan nasz, wszystko byłoby przepadło.

R ó z i a (załamuje ręce). Mój Boże! mój Boże! Co to ja za głupia kobieta byłam. Daj Boże zdrowie naszemu panu.

Stach. To więc widzisz. Nie żądaj nad miarę i kontentuj się tem, co masz z Bożej woli. Módl się i pracuj. Dziękuj Bogu, że nam dał pocziwego dziedzica, co dba o naszą dolę —

(Słychać Krakowiaka poza sceną).

A teraz, oj, zaśpiewajmy sobie i ponieśmy plon domu.

(Stawając przed Rózią, śpiewa):

Dziękuj Panu Bogu za to, czem cię darzy,
Pomódl się i pracuj — tak uczyli starzy.

B a r t e k (także do Rózi).

Chodź kole swojego, miej starunek w domu,
Bądź wesołej myśli, nie zajrzyj nikomu.
Bo kto więcej żąda, jak ma z woli Bożej,
Utraci co dostał, a smutków przysporzy.

R ó z i a.

Znać mnie złe skusiło, zbyt ków się zachciało,
To mnie też za chciwość dobrze nakarało.

SCENA X.

(Halka, Marysia, Basia, Bartek, Rózia, Stach, Pieśko
a za nim gromadka wieśniaków.)

Pieśko. Kajżeż u licha wszyscy siedzicie? Czekamy a czekamy, i Wojtek zyzoli i Tomek rzempoli, cała gromada wyśpiewuje, a was nie widać i nie widać! Ślicznie mi tu, oj, sobie zasiedli, gwarzą sobie, niby o żelaznym wilku, a ludziom pocziwym czekać kazali.

W s z y s c y. To więc chodźmy, chodźmy!

Halka (wysuwa się naprzód i śpiewa:)
Zboże już pożęte, ziarno wymłócimy,
By je spożyć zdrowo, Boga uprosimy.

Marysia.

Zaniesiem do dworu obfity plon z pola;
Złote kłosy zbierać, szczęśna człeka dola.

Stach.

Uprawiajmy zagon, kochane chłopczęta,
Kto pracować lubi, o tym Bóg pamięta.

W s z y s c y.

Uprawiajmy zagon, kochane chłopczęta,
Kto pracować lubi, o tym Bóg pamięta.

(Zasłona spada.)

Młodzieniec i dziadek.

(Kazimierz Brodziński.)

Młodzieniec.

Dziadku! gdzież tu dostać chleba?

Dziadek.

O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa:
Najlepiej ująć się pługą;
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.

Młodzieniec.

Gdzież tu są, dziadku zabawy?

Dziadek.

Sześć dni drogi do nich będzie:
Sześć dni obchódź twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie,
Zysk obrachuj; potem śmieje
Hasaj sobie przez niedzielę.

Młodzieniec.

Gdzież tu znaleźć przyjaciela?

Dziadek.

Tego tylko los udziela;
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą.
Kto w czas zyskał przyjaciela,
Pociech i troski spółnika,
Niech z pełni serca wykrzyka!
Bo jako powietrza ciała,
Tak duszy trzeba udziału.
Kto będzie w słowa oszczędny,
Tobie otwarty, a względny;
Jeżeli, nie wiedzieć czemu,
Tęskno ci będzie ku niemu;
Gdy i milcząc, tobą władnie,
Skryty twój smutek sam zgadnie;

Kiedy złe i dobro swoje,
 Z tobą rad święcić łąą tajną!
 Jeżeli, poświęcenie twoje,
 Przyjmie, jako rzecz zwyczajną:
 Wykrzyknij, pełen wesela,
 Że znalazłeś przyjaciela!

Młodzienc.

A gdzie też tu miłość mieszka?

Dziadek.

Gdzie różana wiedzie ścieżka,
 Tam chodź, tęsknij i myśl o niej;
 A wnet cię przedmiot dogoni,
 Jaki sam sobie wymarzysz.
 Będzie też to dusza sama,
 Mądra, czuła i wesoła;
 I coś jeszcze nad anioła.
 Ale to nie twój towarzyszy,
 To jest bańka twego technienia;
 Bóstwo, które tworzysz sobie,
 Niewcielone, umrze w tobie.
 Gdyś stworzony, syn Adama,
 Szukaj, tak jak ty, stworzenia;
 Nie trać czasu na ofiary
 Dla utworu własnej maryl

Tam, gdzie w gospodarnej chatce,
 Widać kwiaty u podwórka;
 Gdzie pomocna swojej matce,
 Nie zbyt głośna mieszka córka:
 Tam bądź wesoły, a grzeczny;
 Mniej natrętny, a stateczny;
 Szczery bądź mową i okiem,
 Nic nie dodaj, nie ukrywaj!
 Ni własnych marzeń urokiem
 Zalet lubej nie odziewaj;

Jej nie zawódź, ani ciebie.
 Bo, jak ogień błyszczy z siebie,
 Tak miłość sama się zdobi;
 Sama lepszymi was robi.

Gdy litość sercem jej włada,
 A ceni męzkie przymioty;
 Gdy nad strój czystość przekłada;
 Kiedy wesołej jest cnoty;
 Gdy boleść sercem zrozumie,
 Ale zagadać ją umie;
 Jeżeli dbała, bez parady,
 O porządek w domu matki;
 Jeżeli lubi, bez przesady,
 Dzieci, tańce, śpiewy, kwiatki:
 Szalej za nią! — to twa żona,
 Z Opatrzności naznaczona.

Młodzi e n i e c.

Gdzie też tu mieszka wesele?

D z i a d e k.

Dawno o niem nie słyszałem,
 Mało ci o niem kto powie.
 Kiedyś w młodości je znałem;
 Ojcem jego było zdrowie,
 Miało niewinność za żonę;
 Potem, z zasługą złączone,
 Dorobiło się dóbr wiele.
 Dziś podupadłe, w niedoli,
 Chyba gdzie z dziećmi swawoli.

Młodzi e n i e c.

A gdzie też tu mieszka cnota?

D z i a d e k.

Skryła się za swoje wrota,
 Oddawna samotnie żyje;

Obdarli ją ludzie podli:
Z żalem przed światem się kryje,
Tajnie za wszystkich się modli.
Byłaby nagrodą sobie,
Spokojna czystem swem tchnieniem
Lecz teraz żyje w żałobie,
Bo ludzkim cierpi cierpieniem.

Młodzi niec.

A gdzież tutaj szczęście będzie?

Dziadek.

Nie tędy do niego droga.
Pytają o niego wszędzie,
Ale nieznane nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nie znajdziesz, aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia;
Z resztą zapytaj sumienia:
Umie po polsku, toć powie.

Młodzi niec.

A gdzież toż tu wiara mieszka?

Dziadek.

Jeżeli nie wiesz od matki,
To ci pokażą ją dziatki:
Najprościejsza do niej ścieżka,
Nie pytaj o nią szczęśliwych,
Ani mędrców tego świata;
Szukaj jej w miłości brata,
W czynach i uczuciach tkliwych:
A kiedy cię wszystko zdradzi,
Ona, w nieszczęśliwym stanie,
Sama wyjdzie na spotkanie;
Do domu cię zaprowadzi.

V. Z PÓL SŁOWIAŃSKICH i wiersze różnej treści.

Czechom

w dniu otwarcia teatru narodowego w Pradze.

(Wł. Bełza).

Mówią, że kiedy przez próbę płomienia
Przejdzie duch ludzki, a wyjdzie z niej cało,
To już na wieki i na pokolenia
Przyświecać będzie niezatartą chwałą,
I takiej chwały, co mu czoło krasi,
Woda nie zdławi, ani wiatr nie zgasi.

O Czesi! wyście przez owe płomienie
Szli wieki całe, skazani na zgubę...
Za wami huczał straszny głos »zniszczenie«
Przecież zwycięzko przebyliście próbę,
I dziś potężni, silni, odrodzeni.
Na nowe życie wstajecie z płomieni.

Jakże narodu tego duch był żyzny,
Że nie zjałowiał, nękanym tak srodze!
Bez własnej mowy, tradycyi, ojczyzny —
Wszystko to potem znalazł na swej drodze,
W ciszy wiekowej, beznadziejnej, głuchej,
Zbierał ukradkiem swych skarbów okrucy.
Zwolna, wiekami, niby dąb z żołędzi,
Rósł i potężniał podobny do dębu,
Ojczystą ziemię zdobywał od pędzi,
Ojczysty język budował od zrębu,
Urny, wydarte z zimnych mogił łona,
Niósł do pamiątek swoich Panteona,

Z siłą, co dają tylko wielkie bóle,
 Wyście tworzyli te dzieła potężne:
 Z podziwem na was patrzą wasi króle,
 Wsparliście na grobach prawice orężne,
 Gdy ich dochodzi w ciszy Wyszehradu
 Wieść nieznanego w ich czasach przykładu.

I oto nowa, a jak gród zamczysta,
 Staje świątynia narodowej sławy:
 Z niej mowa ojców, i z niej pieśń ojczyzna
 Ma jak nurt wartkiej popłynąć Wełtawy,
 Co nieść wiekami będzie na swym grzbiecie
 Sławę narodu po szerokim świecie.

Cześć! w cześć Muzom, a na ręce wasze:
 Wznoszę ten toast, mieszkaniem daleki:
 Ale nie winem napełńcie mi czasę,
 Dajcie mi wody z macierzystej rzeki,
 Wszak w niej krew wasza i łyżę wasze płyną,
 A taki napój cenniejszy nad wino.

Niechże ten nowy Muz czeskich przybytek,
 Co się jak Feniks odrodził z zarzewi,
 Rozszerza piękno, dobro i pożytek!
 Niech czeską sztukę hoduje i krzewi!
 A wciąż doznając narodu opieki,
 Potężny duchem, późne przetrwa wieki.

Nasza mółyтва.

(Platon Kosteczki).

Wo imia Otca i Syna,
 To nasza mółyтва:
 „Jako Trójca, tak jedyna,
 Polszcza, Ruś i Łytwa!“

Świtiat krowiu pobratani
Try rody welyki,
Jak trójświcznik na Jordani
U rukach władyki.

Jednakowo tužno, sumno,
Połem piśń ich płynie,
I czeła ich w bolu dumno
Hladiat w nebo syne.

Jednow żyjem my nadijew,
Wspilnaja nam sława,
Wsim zajedno myłyj Kijew,
Wilno i Warszawa.

Jedna w Boha Korołewa,
Mołyt sia za namy,
Z Częstochowy, Poczajewa,
I z nad Ostroj Bramy.

Wdal krakiwski dzwoniat dzwony
Świtom hołos czuty,
Z hrobów kłyeczut Jahajlony,
Piasty, Korybuty.

Wo imia Otea i Syna,
To nasza mołytwa:
„Jako Trojca, tak jedyna,
Polszcza, Ruś i Łytwa!“

Uwaga. Ze względu na wielką ważność braterstwa Polaków z Rusinami zasługuje wiersz Kościeckiego na baczną uwagę. Podajemy dosłownie tłumaczenie tej modlitwy.

W imię Ojca i Syna — to nasza modlitwa. —
Jako Trójca, tak jedyna — Polska, Ruś i Litwa.

Świecą krwią pobratane — trzy rody wielkie. —
jak trójświecznik podczas Jordanu (uroczystość Trzech Króli) — w rękach władyki.

Jednakowo tęskno, szumno — polem pieśń ich płynie — i czoła ich w bólu dumne — patrzą w niebo sine.

Jedną żyjem my nadzieją, — wspólna nasza
sława — wszystkim równo miły Kijów — Wilno
i Warszawa.

Jedna w Bogu Królowa — modli się za nami
— z Częstochowy, Poczajowa — i z nad Ostrej
Bramy.

W dali krakowskie dzwonią dzwony — po świecie
głos się rozlega — z grobów wołają Jagielony, —
Piasty, Korybuty.

Pieśń łużycka.

Fiedlera.

(Z łużyckiego tłumaczyła Melania Parczewska.)

O ziemio łużycko! ojców moich kraju,
Kolebko ty moja, marzeń moich raj,
Tyś wyłącznym celem, szczęściem mego życia,
Twoją tylko myślą żyję od powicia.

O ziemio łużycka! matko ty jedyna,
Jakaż świętą miłość wlewasz w serce syna.
Dla ciebie przed śmiercią nie zdejmie go
[trwoga,
Za tobą zanosi on modły do Boga.

O ziemio łużycka! cichy szmer twej jodły
Do snu tulił dziecię, szepcąc nad nim modły.
W twoich progach zbiegły dni mojej mło-
[dości,
Niczem niezmaconej swobody, radości.

O ziemio łużycka! chociaż twoja dola
Dzisiaj tak sieroca, ciężka jak niewola.
Choć różę powiedły, cierń wszędzie wykwita,
Ja wierzę, że tobie inny dzień zawita.

O ziemio łużycka! w każdej życia chwili,
Twoich pól powietrzem oddychać najmilej.
A gdy śmierć nadejdzie, spraw Panie nad
[pany,
Bym w ziemi łużyckiej mógł być pochowany.

Boże, coś Rosyą.

Przekład z rosyjskiego.

Boże! coś Rosyą przez tak liczne wieki
Trzymał w ciemnościach na hańbę ludzkości,
Coś jej odmawiał dotąd swej opieki,
Robiąc narzędziem tyraństwa i złości.

Przed tve ołtarze zanosim błaganie:

Lud nasz nieszczęsny racz oświecić Panie!

Daj naszej Rosyi poczucie wolności,
Niech w niej wytępią katowskie jaskinie,
Daj jej poznanie o ludów godności,
Niech z barbarzyństwem despotyzm zaginie!

Przed tve ołtarze zanosim błaganie:

Ojczyźnie naszej racz dać wolność Panie!

Gdy cała Polska żałobą pokryta,
Modlitwą, łzami o swą wolność prosi,
Sóldat krzyż łamie, morduje i chwytą
Lud śpiewający, do fortec unosi.

Przed tve ołtarze zanosim błaganie:

Tak strasznej zbrodni racz odpuścić Panie!

O! Polsko! Polsko! za twoje cierpienia,
Którymi dręczy rząd dzikiej srogości,
Lud Rosyi błaga Twego przebaczenia,
Boś ty jest dźwignią i jego wolności.

Przed tve ołtarze zanosim błaganie:

Z podłych służalców oczyść Rosyą Panie!

I myśmy ofiar ponieśli już krocie,
 Podobnej Polsce ulegamy doli,
 A żyjąc ciągle w hańbie i sromocie,
 Dźwigamy jarzmo ohydnej niewoli.
 Przed twe ołtarze zanosim błaganie:
 Zbudź synów Rosyi, miłosierny Panie!

Boże wszechmocny! niech ta krew przelana,
 Co ją broń nasza z Polski wytoczyła,
 Nie na nas spadnie, ale na tyrana,
 Którego ręce krew ta pobroczyła.
 Przed twe ołtarze zanosim błaganie:
 Krwawe morderstwa Rosyi przebacz Panie!

Lud nasz nie pragnie dla zdobyczy boju,
 Nie chce już cudzej własności posiadać,
 Pragnie swobody używać w spokoju,
 Nie chce swych więzów innym ludom wkładać.
 Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
 Z kajdan niewoli, racz nas rozkuć Panie!

Lud Rosyi przeklnie wyrodnego syna,
 Co krwią Polaków splami swoje dłonie,
 Matki i żony odepchną Kaina,
 Który zeszpeci zbrodnią swoje dłonie.
 Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
 Wyrodných synów, nie daj więcej Panie!

Na cześć kapłanów polskich.

W purpurze krwi męczeńskiej wstała polska zorza.
 Miłością wzrosła Polska od morza do morza,
 Jej królowie od pługa — a żelazni, wierni
 Strzegli mogił granicznych hetmani pancerni;
 A niewiasty na straży domowych cnót stały,
 A w obronie wiary to już naród cały,

Za przewodem kapłanów, natchnionych i świętych,
Wiązał się w jeden hufiec rycerzy niezgiętych.
Nie zerwała Polska z Chrystusem przymierza
I nie brakło jej nigdy kapłana-rycerza!
Już czasów Piastowskich gdy zakwitła wiosną,
Tuląc się do kościołów, mnogie szkoły rosną,
A biskupi, nad stosem pergaminów zgięci,
Piszą dzieje narodu pokoleń pamięci.
Majestat Jagiellonów kiedy Polskę zdobił,
Któż to jej królewiczów do berła sposobił
Żywota przykładem, przykładami z kronik?
To ojciec dziejów polskich, to Długosz, kanonik!
Potem gdy z wielkością i z swobodą dumnie
Począł naród swawolić, nie myśląc o trumnie,
By nawrócić hardego, uchronić od klęski,
Wstaje olbrzym proroczy, ksiądz Skarga-Pawęzki,
I woła: »Jeźli naród poprawie nie sprostą,
»O! czeka go piorunna bożych gniewów chłosta.«
Więc gdy potem moskiewskiej i tatarskiej dziczy
Zaczął Polskę naciskać potok najeźdźczy,
Ksiądz Birkowski na przedzie mieczem w ręku śmiga,
A w drugiej krzyż podnosząc, męstwo hufców dźwiga,
A nareszcie gdy w Polsce już słyhać kajdany,
Któż to barskich rycerzy w krwawe wiodąc tany,
Na ambonie z trupów — z czaszek przyszłość czyta?
Oto prosty zakonnik, Marek karmelita!
Wczoraj jeszcze, w rozdarcu już ojczystej ziemi,
Gdy takie zamieszanie, jak przy Babel wieży,
Słyhać jako z Wawelu Woronicz-Jeremi
Prawi o zmartwychwstaniu, o Polsce macierzy!
O, nie zerwał nasz naród z Chrystusem przymierza,
I nie braknie mu nigdy kapłana-rycerza!
Nie zabraknie nam skrzętnych, cichych pracowników,
Nie zabraknie świętego ducha wojowników,
Przed którymi uciekać muszą wszyscy czarci;
Bo oni są o granit przeszłości oparci,
W łasce Bożej chodzący, stróżują ludowi,
Że nie uwierzy Polski nieprzyjacielowi;
Bo oni wiara kontusz ze siermięgą spoją,
Bo wciąż na straży wiary i ojczyzny stoją!

Krakowiak

Narceży Żmichowskiej)

On. Wezmę świecę i latarnię i głównię z komina,
Pójdę szukać: czy jest w świecie pocziwa dziewczyna.

Ona. Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne
[słońce.
Może znajdę w którym chłopcu serce kochające.

On. Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tem,
Że nie znajdzie najpocziwszej, kto nie brzęknie zło-
[tem.

Ona. Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
Że z nich każdy czule kocha, lecz siebie samego.

On. Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem kochaną,
Piękną, cichą, ale w składzie... lalkę malowaną.

Ona. Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie,
Piękny, dzielny, wojak młody... na starym portrecie.

On. Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

Ona. Niechaj wojak malowany dosiedzie bachmata,
Może w lalce malowanej serce zakołata.

Samarytanka.

(Fr. Waligórski.)

Już dzień strudzone mruży powieki,
Umilknął boju gwar gdzieś daleki,
I pole bitwy — co śmierć zorała —
Cmentarna cisza owiała.

Ale cóż jeszcze głuszę przerywa?
Czy anioł śmierci nie skończył żniwa —
Czy dzicz zwycięzka, zbierając łupy,
Oprawia rannych i trupy?

To opuszczony w dzikim ustroniu,
Umiera Krakus przy swoim koniu,
I twarz płonąca tuląc do ziemi
Skarży się usta spiekłemi:

— »O Panie! ogień pierś moją pali;
»Niech się nade mną niebo użali!
»Daj skończyć mękę, lub dla ochłody
»Choć kroplę zeszlij mi wody!

»Jam wiernie służył w Twoim zakonie;
»Wszystko oddaję w Jego obronie!
»I krew serdeczną, i raj młodości —
»Litości, Panie, litości!«

Ledwie ostatnie wyjęknał słowo,
Budzi go jakiś szelest nad głową,
I biała postać jawi się w zmroku —
Jak anioł Boży w obłoku.

»Ktoś ty?!« — »Ach cicho! Jestem cyganka;
»Czerpiąc u źródła wody do dzbanka,
»Słyszałam skargę waszą i jęki
I przysłałam ulżyć wam męki.

»Pijcie! Lecz cicho! bo tam jak katy
»Czyhają wkoło moskiewskie czaty...
»Gdyby dostrzegli — za litość moję
»Zginęlibyśmy oboje.«

Krakus pochwycił dzban w obie dłonie,
Ugasił pożar śmiertelny w łonie,
I łąą wdzięczności płacąc za leki,
Usnął spokojnie — na wieki.

Dziewczyna kornie zgięła kolana,
Zmówiła pacierz u zwłok młodziana;
A Bóg — co widział ten czyn dziewiczy —
Pewno go w niebie policzy.

Beka w rękę.

Obrazek społeczny, wyczytany z akwareli Tepy.

(Fr. Waligórski.)

O cześć Tobie, życia wiosno,
Wieku szczęścia i swobody!
W tobie tkwią zarody
Cnót, co bożem tehnieniem rosną
I jak rajskej woni kwiaty
Leją czar na światy!

Pokrzepiona ducha rosą —
Wyroiła się jak pszczoły
Dziatwa z wiejskiej szkoły;
Ten ozuty, a ów boso,
Ten w kubraku — ów w żupanie,
Ot — jak kogo stanie.

Ale któż tam o strój pyta,
Gdzie świat jeszcze serce nie studzi
Ani dzieli ludzi,
Gdzie myśl zorzą prawdy świta,
A miłości zdrowe ziarno
Idzie w siew nie marno!

Więc nie razi też Adasia —
Choć wygląda coś na panka —
Wieśniacza płótnianka;
Bo za szyję wziął Iwasia,
I rówieśni sercem — szkołą —
Patrzą w świat wesoło.

— »Wiesz Iwanku: twoja chata —
Choć to ojcowizna droga —
Ciasna i uboga;
Ja cię przyjmę sercem brata,
U mnie znajdziesz chleb, dostatki
I opiekę matki.«

— »Eh paniezu, co wam w głowie!
 Alboż może Rusin z Lachem
 Żyć pod jednym dachem?
 Jam chłop zresztą — wy panowie —
 Rodzimy się z woli nieba
 Do innego chleba.«

— »A Bóg z tobą! Jakaż mara
 W twoje serce jad ten sączy?
 Alboż nas nie łączy
 Jeden Bóg i jedna wiara,
 Spólne niebo — spólna dola
 I ojczyzna?«

»Patrz na naszym tu cmentarzu
 Leżą w zgodzie i równości
 Naszych dziadów kości;
 A w kościółku przy ołtarzu
 Klęczą matki nasze razem
 Przed jednym obrazem.«

Bośmy jednej matki dzieci —
 Czy Rusini czy Polacy —
 U niej my jednacy;
 I pokąd to słońce świeci,
 Pokąd bratnia krew w nas płynie —
 Matka ta nie zginie!«

— »Tak Adasiu! — i ja czuję,
 Że to wszystko prawda święta;
 Tylko złość przekłeta
 Nasze serca fałszem truje,
 I swą ręką zaślepioną
 Krwawi matki łono.«

Lecz dziś precz już z tą zakałą!
 Niech nam zgoda zbroi ramię
 I braterstwa znamię:
 A do boju stanem śmiało,

I pewno się przed tą zbroją
Wrogi nie ostoją!«

I podali sobie dłonie...
A tam z góry anioł Boży
Radością im wtórzy; —
Bo gdzie zgoda jest w zakonie,
Gdzie sterniczką miłość ludu —
Tam nie braknie cudu!

Dwaj mularze.

Zdarzenie prawdziwe.

(Julian Miłkowski.)

W stolicy świata, słynnej z powabów i czarów,
W nowym, cudnym Paryżu, na jednym z bulwarów,
Przed może ośmnastu, czy dwudziestu laty,
Budował sobie pałac pewien pan bogaty;
Hojną dłonią grosz sypał i nie szczędził trzosa,
To też mury tak rosły, jakby szły w niebiosy.

W licznym tłumie czeladzi, która pod nadzorem
Budowniczych władnęła kielnią, czy toporem,
Było i dwóch mularzy. Jeden w wieku sile,
(Miał lat dwadzieścia kilka, może i nie tyle)
Rysów pięknych: ze źrenic zacność, prawość bila,
A w postawie widniały: męztwo, zdrowie, siła.

Wołano nań »Andrzeju«... pracował z ochotą,
By zarobić na życie... był na pół sierotą:
Gdyż prócz staruszki matki, ni ojca, ni brata,
Ni krewnych; rzechy można sam jeden wśród świata.
Na teź samej desce, wiszącej w przestrzeni,
Tak wysoko, że patrzeć, to w oczach się mieni,

Stał razem drugi mularz, zwano go Grzegorzem;
Ten znów błogosławieństwem obsypany Bożem,
Miał matkę, żonę i dzieci siodmioro,
A całej tej rodzinie musiał być podporą.
U obu w rękach kielnia, na ustach piosenka,
Gdy wtem o Wielki Boże! wąłła deska pęka!

A obaj swego życia ratując godziny,
 Rzucili się do jednej i tej samej liny,
 Zawisli więc w powietrzu, aż im kto z pomocą
 Pospieszy... krwawym potem ich czoła się pocą,
 Gdyż czują, że dwóch unieść nie potrafi lina,
 Słyszą, jak głucho, lecz straszliwie trzeszczy.

Widzą, jak się rwać włókno po włóknie zaczyna,
 I jak w oczy zagłada śmierci wzrok złowieszczy;
 »Andrzeju! dwóch się nas tu utrzymać nie zdoła!
 Jeden mógłby ocalić«... Grzegórz z płaczem woła.
 »Ach rozumiem« odpowie mu Andrzej w rozpacz,
 Czuję, że prawdę mówisz... jeden... nie inaczej!

Lecz ja mam matkę starą!«... »Ja rodzinę całą,
 Co zmarnieje w nieszczęściu, gdyby mię nie stało«...
 »Masz słusność! Boże Wielki! w Twe wszechmocne

[dłonie«....
 Nie domówił... padł na bruk, a czaszka i skronie
 Roztrzaskły się — i dusza wielka, zacna, święta,
 Zerwała doczesności krępujące pęta...

Grzegorza ocalono... podano drabinę,
 Po której zszedł, rzucając niegościnną linę.
 Dzień był piękny — słońeczko świeciło tak cudnie...
 Kompas właśnie oznaczał cieniem przedpołudnie,
 Pracę wstrzymali wszyscy, a dzieci lub żony
 Znosiły im posiłek w domu przyrządzony.

Przyszła i biedna matka, przywlokła się z chaty:
 Niosła skromne dwojaczki, nie wiedząc swej straty,
 Aż ujrzawszy tłum ludu, krwawe zwłoki syna,
 Zachwiała się i padła na nie starowina:
 »Andrzeju! Andrzej najdroższy!«
 »Nie płaczcie kobieto!

Wasz syn w niebie — za mnie się poświęcił, a przeto
 Ja go odtąd zastąpię... podwoję mą pracę,
 Ten święty dług wdzięczności wiernie wam wypłacę.«
 Grzegórz dotrzymał słowa. Zaraz po pogrzebie
 Rozpaczając matkę przygarnął do siebie,
 Tak ją ccił i szanował, tak jej boleść słodził,
 Że dlań jakby się Andrzej w Grzegorzcu odrodził.

Dotąd jeszcze w pamięci tkwi wspomnienie czynu,
Który był poświęcenia tak szczytnym obrazem,
I który pośmiertnego godniejszy wawrzynu,
Nad waleczność, co bliźnich przeszywa żelazem.

Dziewczę zuch.

(Igor).

Hej, trąbki zabrzmiały!
Gdzie siwy mój koń?
Gdzie kołczan, gdzie strzały,
Gdzie sieczna ma broń?
I chwatów Jaś woła —
Już zbroją się w stal,
Już pędzą przez sioła,
Przez błonia, gdzieś w dal!
Aż cieszy się dusza,
Gdy patrzę na młódź,
Aż serce się wzrusza,
Łza ciśnie do ocz.
Och! dajcież tu zbroję
I mężki mi strój,
Bym poszła na boje,
Gdzie Jaś luby mój!
Już słyszę szczęk broni,
Już pierzcha tam wróg,
Młódź dzielna go goni, —
Zwycięstwo dał Bóg!
Och, biedne dziewczyny!
Nie dla was to bój,
Nie dla was wawrzyny,
Jak smutny los mój!

Pamiętaj o mnie.*(Al. Fredro tłum. z Musset'a.)*

Pamiętaj o mnie, gdy jutrenka skromnie
Słońce na tory wprowadza czyste,
Pamiętaj o mnie, gdy nocy cienie
Zalegną niebo gwiazdziste,
Kiedy cię serce ciągnie ku zabawie,
Gdy mrok wieczorny wzbudza marzenie,
W lasach słuchaj łaskawie,
Głos szemrze skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie, gdy losy świata
Kiedyś rozdzielią mnie z tobą,
Kiedy wygnanie, smutek i lata
Okryją serce żałobą,
Myśl o mojej miłości i o pożegnaniu,
Kto kocha, nie zna czasu ni przestrzeni:
Serce się nigdy nie zmieni,
I puka skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie, kiedy pod głazem
Złożą mą głowę żalosną,
Pamiętaj o mnie, gdy na mym grobie
Żałobne kwiaty porosną.
Ja cię nie ujrzę, lecz dusza przy tobie
I z tobą zawsze pozostanie razem:
Słuchaj — w noc głuchą
Głos szemrze w ucho:
Pamiętaj o mnie!

Hymn

na przybycie Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa
Floryana dra. Stablewskiego.
(W. Benzelstjerna Engeström).

Na katedralnych tam wieżyc wyżynie
Dzwon się odezwał — rozbudził dzwony
Śpiżowym hymnem — który górą płynie
I w pieśń nastraja — polskich serc miliony; —
A wieść radosną niesie naszej ziemi
Dzwoniąc hosanna — głosy dobranemi —
Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
»Witaj nam — witaj — Hospodynie drogi!«...

W tysiączne dzwony — niechaj wieść się złoży, —
Że z krwi i kości naszego narodu
Wstępuje na tron — Pomazaniec Boży!
Więc w głos organów, — w »Te Deum« pochodu, —
Tą pieśnią śpiżów — i hymnem organu —
Śpiewajmy społem dziś nowemu Panu, —
Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
»Witaj nam — witaj — Hospodynie drogi!«...

Dzwony katedry — i wszechdzwonów chóry
Budzą dziś echem dawnych ojców cienie, —
Które zstępując — patrzą na nas z góry —
By z nieba jasne — złotych gwiazd promienie!...
Tam święty Wojciech — na pasterskim tronie
W Prymasów polskich jasnem mówi gronie
Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
»Witaj nam — witaj — Hospodynie drogi!«...!

Tam białe orły — nasze orły białe!
Pieśnią się duchów — do lotu zerwały
I wieńcem w górze — krążą okazałe —
Szumiąc w wyżynie wspomnieniami chwały!
Prastarym hymnem w Piastowej koronie
Śpiewają Księżciu na Wojciechów tronie —
Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
»Witaj nam — witaj — Hospodynie drogi!«...

Hymnami dzwonów — i pieśni chorałem, —
Marzeń widzeniem — o świetle nadziei,
Wiary potęgą — serca ideałem, —
Stajem w otwartej kościoła wierzei;

I w tryumfałym dziś wiodąc pochodzie,
 Wołamy Ojcu na pasterskim grodzie, —
 Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
 »Witaj nam — witaj — Hospodynie drogi!«...
 Witaj nam — witaj! na duchowym tronie, —
 We wspólnych uczuć święconem przymierzu, —
 We czei i wiary ojczystej osłonie —
 Witaj nam — witaj! — nasz Arcypasterzu!...
 Tobie dziś Ojcie! — po trudach i znoju —
 Tobie śpiewamy — starą pieśń pokoju —
 Tobie, co w radość zamieniasz dni trwogi:
 »Witaj nam — witaj — Hospodynie drogi!«...

Z poematu „Zakłęte dzwony.“

A. D. 1795.

(Władysław Bełza.)

Na Wawelu jęczą dzwony,
 Głośno nasz się »Zygmunt« żali,
 A z wichrami smutne tony
 Po wiślanej płyną fali.

Stary Zygmunt lka jak dziecię...
 Jęki niosą wiatry chyże,
 A z Zygmuntem wszystkich w świecie
 Zajęczały dzwonów spiże.

I po ziemi naszej całej
 Huczą dzwony, jak zakłęte...
 Nawet ów z Loretu, — mały,
 Cicho roni łezki święte.

— Hej! kto płaci za podzwonne,
 Że tak kazał grzmieć sowicie?
 Hej! litewskie i koronne,
 Komu, komu wy dzwonicie?

— O! nie pytaj, rzeszo miła,
 Jeno słuchaj, słuchaj szczerzej...
 Oto jedna — patrz mogiła,
 A w mogile Polska leży...

Rozbujane serce w dzwonie
 Wstrząsa duszę dziwną mocą;
 A tam drugie, w ludu łonie,
 O pierś bije, o sierocą!

Dzwon w niebieskie grzmi podwoje;
 Głośniejsze ludu serce szłocha,
 I tak serce się ściera dwoje,
 Które silniej Polskę kocha!

Na przemianę, — ciszej, — śpiewniej,
 Dzwoni żałość ich pobożna,
 Że nie wiedzieć, czy już rzewniej,
 Nad ojczyzną płakać można...

Jęczą dzwony, — dzwonom śmiechem
 Odkrzykują wtór morderce,
 Aż z ostatnim dzwonów echem,
 Zygmuntowi pękło serce.

.

W koło trumny marmurowej,
 Co pokrywa drogie zwłoki,
 Stoi orszak pogrzebowy,
 W ciszy wielkiej i głębokiej.

Smutne »requiem« grzmią organy,
 Serca wszystkie drżą w pokorze...
 Gdzież te czasy, gdy te ściany
 Odbijały: »Ciebie Boże!«

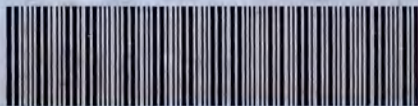
Gdy tu króle, wodze nasi,
 Po odbytej bitwie walnej
 Nieśli wota... a prymasi
 Hymn »Te Deum« tryumfalny?





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000340513



I 319174